

PIĄTEK

|18|12|2020|

RAPORT

DZIENNIKARZY GAZETY OLSZTYŃSKIEJ



ZASTĄPIĆ MAMĘ I TATĘ

Piecza zastępcza i adopcje na Warmii i Mazurach

KTO STWORZY PRAWDZIWY DOM?

Choć Państwo możecie wracać do raportu w dowolnym momencie, bo będzie na Was czekał nie tylko w papierowym wydaniu Gazety, ale i na stronie gazetaolsztynska.pl, nie mogę udawać, że nie pracowaliśmy nad nim w wyjątkowym, przedświątecznym czasie. Czasie, w którym większość z nas pewnie intensywniej myśli o swoich bliskich. Wiadomo, trzeba kupić prezenty, zastanowić się nad odwiedzinami...

W tym roku robimy to jednak z mniejszą radością, bo mamy świadomość, że musimy mieć na uwadze przede wszystkim bezpieczeństwo i dobro tych, których kochamy.

Trudno więc w takim momencie przeglądać statystyki i godzić się z myślą, że jedno z dzieci (Ewa? Adaś?), które aktualnie są w pieczy zastępczej, aktore dla systemu przybiera postać bezdusznego numeru w tabeli, nie podzieli się opłatkiem z mamą i tatą. Że

to nie ta, która nosiła je pod sercem, dogada się z mikołajowymi pomocnikami, żeby zobaczyć radość na twarzy swojej pociechy. I nie ten, dzięki któremu dziecko pojawiło się na świecie, będzie z nim czekał na pojawienie się pierwszej gwiazdki. Choć może będą w tym czasie całkiem niedaleko od siebie.

Ale było coś, co dodawało mi otuchy, kiedy poznawałam historie bohaterów naszych tekstów. Co? Świadomość,

że nadal jest wiele osób gotowych na to, by swoją miłością i wsparciem otoczyć małego człowieka boleśnie zranionego przez los. Nie ma w nich nic z bohaterów. Są po prostu ludźmi. Zakładają więc rodziny zastępcze, pracują w instytucjach, a wreszcie stają się prawdziwymi mamą i tatą. Takimi, którzy lepiej od samego Mikołaja wiedzą, czego potrzebuje ich dziecko. I są mu w stanie to dać nie tylko od święta. Bo to „coś” nie nie

kosztuje, a jest najcenniejsze.

Zebraliśmy dla Państwa nie tylko dane, w których najwyraźniej rozkochany jest system pieczy zastępczej, ale przede wszystkim opinie osób, które temat znają na wylot. Zadajemy pytania, żeby lepiej rozumieć, ale i po to, aby zasiewać ziarno niepewności w tych, którym wydaje się, że wszystko działa bez zarzutu. Nie działa, już to wiemy. Ale można to zmienić.

Daria Bruszevska-Przytuła



MIAŁEM SZCZĘŚCIE

Jak młodziemiec (uwielbiam to staroświeckie określenie młodego człowieka) bardzo lubiłem kolonie, niezwykle popularne w PRL-u. Przede wszystkim dlatego, że nie obciążały nazbyt kieszeni rodziców. Rzecz jasna w niewielkim stopniu zaprzętały mnie wtedy sprawy finansowe (byłe kieszonkowe się zgadzało!), bo zdecydowanie ważniejsze od nich były spotkania z rówieśnikami z całej Polski, których się tam poznawało.

Na jednej z takich kolonii poznałem rodzeństwo z domu dziecka. Jakoś tak przypad-

liśmy sobie do serca i przez trzy tygodnie trzymaliśmy się blisko siebie. Dziś wiem, co to było: otóż oboje raczyli mnie opowieściami nie z mojego świata. Świata, o którym pojęcia nie miałem, a który dzięki zręczności narracyjnej małych opowiadaczy zachwycił mnie (dziś też wiem, dlaczego taką wersję siebie mi sprzedawali).

Co mnie w nim tak pociągało? Swoboda, jaką mieli. Tzn. nie mieli ani ojca, ani matki, ani nawet babki, dzięki czemu — tak to sobie wtedy wyobrażałem

— robili, co im się żywnie podobało, bo nikt im niczego nie kazał, nie strofował, nie groził palcem. Żyli sobie w tym domu dziecka jak... właśnie — jak na kolonii, która dla nich trwała cały rok. No żyć, nie umierać — myślałem sobie.

Już po powrocie do domu z jakiegoś powodu (którego oczywiście zupełnie dziś nie pamiętam) spałem się ze swoją matką. Poszło zapewne o jakieś codzienne głupstwo: nieodrobione lekcje, bałagan w pokoju, niewyniesione śmieci albo coś

takiego. W złości rzuciłem jej wtedy odważnie w twarz: — Wolałbym być w domu dziecka, bo tam nikt by na mnie nie krzychał i miałbym święty spokój.

Do dziś pamiętam osłupiały wyraz twarzy mojej mamy. Musiała ochłonąć i przetrwać to myślowo, zanim wykonała jakikolwiek gest. Zachowała się jak kochająca swoje dziecko matka — z całej siły przytuliła mnie do siebie i tak trzymała, aż zacząłem się niepokoić. W końcu zrozumiałem, że ona zwyczajnie płacze. Chyba wówczas coś do mnie

dotarło, bo przeprosiłem ją za to, co powiedziałem w swoim dziecięcym napadzie złości.

Moja matka nie zamierzała się po tym incydencie jakoś zmieniać. Nadal strofowała, pouczała, no... zrządziła po prostu. I za to jestem jej do dziś wdzięczny. Tym bardziej, im więcej historii dzieci bez matki, bez ojca, a nawet bez babki poznaję. Bo wiem na pewno: miałem w życiu szczęście.

Dlatego zapraszam do lektury kolejnego raportu dziennikarzy „Gazety Olsztyńskiej”.

Miroslaw Wieczorek



Kolejny „Raport dziennikarzy Gazety Olsztyńskiej” ukaże się 30 stycznia i poświęcony zostanie edukacji zdalnej. Sprawdzimy, jak nowa rzeczywistość wpływa na uczniów, nauczycieli i rodziców z Warmii i Mazur. Co zyskujemy, co tracimy? Czy zdołaliśmy wypracować już jakieś dobre praktyki? Jeśli chcecie Państwo podzielić się swoją refleksją lub doświadczeniami, piszcie: d.bruszevska@gazetaolsztynska.pl. Nasze raporty (poprzednio pisałyśmy o psychiatrii dziecięcej i młodzieżowej) znajdują się na www.gazetaolsztynska.pl.

Redaktorzy prowadzący:
Daria Bruszevska-Przytuła,
Miroslaw Wieczorek

W 2018 roku sądy prawie 22 tysiące razy decydowały o pozbawieniu, zawieszeniu lub ograniczeniu władzy rodzicielskiej



ILE MIESIĘCZNIE KOSZTUJE UTRZYMANIE DZIECKA, KTÓRE PRZEBYWA W PIECZY ZASTĘPCZEJ?

- rodzinna piecza zastępcza: 1144,65 zł
- placówka opiekuńczo-wychowawcza typu rodzinnego: 3 576,95 zł
- placówka opiekuńczo-wychowawcza typu socjalizacyjnego: 4 689,47

To był czas dużej aktywności m.in. Towarzystwa „Nasz dom” i jego ówczesnego szefa Tomasza Polkowskiego. Choć nie był on pierwszy, to — w mojej ocenie — jako jeden z pierwszych skutecznie nagłośnił potrzeby dzieci osieroconych, porzuconych, zaniedbanych, słowem z różnych względów pozbawionych opieki rodziców biologicznych i własnego, rodzinnego domu. Na tyle skutecznie, że nawet osoby dotychczas obojętne na te kwestie nagle zauważyły (dowiedziały się!), że tuż obok nich żyją dzieciaki skazane na, jak to się wtedy mówiło, bidul czy sierotnic. Nie ze swojej winy.

Polkowski i podobni mu zapaleńcy (bo, powtórzę, nie był jedyny) zaczęli w latach burzliwych procesów społeczno-politycznych i ekonomicznych (początek lat 90.). To były główne problemy, które zaprzęgały uwagę decydentów. Jakież tam dzieciaki z problemami? A kto ma do tego głowę! No, w końcu od tego są domy dziecka, to niech się nimi zajmą. Apele pedagogów i psychologów, że to ślepa ulica, były niczym brzęczenie dokuczliwej muchy.

Polkowskiemu i podobnym mu zapaleńcom z innych stowarzyszeń ten sposób podejścia do dzieciaków z problemami zupełnie nie odpowiadał. Więcej, szczerze się przeciwko niemu buntowali. Na tyle, że głośno o tym mówili. Co więcej, wiedzieli, jak to robić, żeby — jeśli już ich nie słuchano — przynajmniej słyszano. I dzięki osobom znanym, dziś powiedzielibyśmy celebrytom, ich głos rzeczywiście był coraz bardziej słyszalny, bo media chętnie nagłaśniały ich pomysły, akcje, spotkania.

BO TAK ROZUMIAŁ ŚWIAT

System opieki nad dziećmi, jaki odziedziczyliśmy po PRL-u, był — mówiąc ogólnie — bardzo zaniedbany. Dominowały domy dziecka — molochy, które bardzo przypominały przechowalnie niż choćby namiastkę domów rodzinnych. Na początku lat 90. było ich w Polsce ponad 300. Wszystkie do siebie podobne, z siemieniowymi warunkami i mało domową atmosferą. Jak to powiedział mi kiedyś były wychowawek: — Miał się wrażenie, że ciągle jest się na koloniach.



TAK ZMIENIAŁ SIĘ SYSTEM PIECZY ZASTĘPCZEJ

LATA 90. NIEWIELKA, PODOSTRÓDZKA WIEŚ. DOM JAK Z MARZEŃ — PONIE-
MIECKI PAŁACYK. MA JEDEN FELER: JEST DOŚĆ SFATYGOWANY. NA SCHO-
DACH WITA NAS MŁODE MAŁŻEŃSTWO. UŚMIECHNIĘCI GORĄCO ZAPRASZAJĄ
DO ŚRODKA. DO SWOJEGO NOWEGO DOMU, W KTÓRYM STWORZYLI RODZINĘ
ZASTĘPCZĄ. — JESTEŚCIE NASZYMI PIERWSZYMI GOŚCI — SŁYSZYMY.

Oczywiście łatwo teraz wlewać kubły pomyj na te placówki, ale z drugiej strony...

— Gdyby nie dom dziecka, to dziś byłbym zapitym i bezdomnym lumpem — mówił w rozmowie ze mną wtedy już ponad 30-letni mężczyzna, bohater mojego tekstu z lat 90. — Zostałem wyrwany z domu, gdzie się tylko piło, a jak nie było na picie, to kradło.

Mój rozmówca — jak sam to określił — kiedy trafił do placówki, był zdemoralizowany. I agresywny. Siła była jego argumentem w walce o przetrwanie z jednej strony i przekonaniu do swoich racji z drugiej. Bo tak rozumiał świat.

Miał to szczęście, że trafił na kilku wychowawców-pedagogów, którzy umieli do niego dotrzeć, przebić się przez pancierz, którym odgradził się od świata. Pokazać, że jest coś więcej, niż mu się wydaje ze spaczony perspektywą dziecka kształtowanego przez nie-dom pijaków.

Generalnie jednak opinie o domach dziecka były z gatunku tych gorszych: brak intymności i wynikający z tego brak umiejętności nawiązywania relacji, wreszcie przywiązania do miejsca, ludzi, wartości, słowem wszystkiego tego, co się kojarzy z rodziną.

Szczęśliwie w tym samym czasie gdzieś tam na obrzeżach dzięki empatii i sercom wcale niemałej grupy ludzi funkcjonowały sobie rodziny zastępcze i rodzinne domy dziecka. Osoby je prowadzące rzadko były postrzegane jako bohaterowie, raczej jako naiwniacy, którzy weszli w kłopoty pod tytułem: cudze dzieci. Ten trend w myśleniu zmieniali tacy ludzie jak m.in. Polkowski i akcja kierowanego przez niego Towarzystwa „Nasz dom” oraz „Gazety Wyborczej” i „Polityki”: Żlikwidujmy Domy Dziecka (1997 rok). Reakcja środowiska — jak pamiętam — była gwałtowna, a dysku-

sja zbyt emocjonalna, żeby mogła być merytoryczna.

Tomasz Polkowski często gościł wtedy w Olsztynie. Po wodem była przede wszystkim atmosfera zrozumienia dla jego działań. Chętnie spotykał się z ludźmi, którzy z powodzeniem tworzyli rodziny zastępcze i głośno byli wiedzy i kontaktów z tymi, którzy zdecydowali się na podobny wysiłek. Sojusznikiem Polkowskiego w zmianie myślenia o systemie wychowywania dzieci pozbawionych opieki rodziców biologicznych były na przełomie lat 90. i dwutysięcznych samorządy, które w tamtych latach autentycznie czuły się odpowiedzialne za losy dzieci ze swoich gmin. Ułatwiały, pomagały, załatwiały... Była to nieoceniona pomoc na starcie z takim projektem.

ONA I ON

Lata 90. Niewielka podostródzka wieś. Na schodach

poniemieckiego pałacyku wita nas młode małżeństwo: — Jesteście naszymi pierwszymi gośćmi — słyszymy.

Otacza nas czereda dzieci: od najmniejszych do największych. Śmiechy, piski, przekrzykiwanie się. Jak w rodzinie. W wielkim przedpokoju wita nas dywan ułożony z butów: różnej wielkości, w różnych kolorach i fasonach. Niezapomniane widoki.

Ona — gdzieś ze wschodu regionu. Z wykształcenia pedagog.

On — kilka lat pracy za granicą. Złota rączka. Posunięty w latach i zdewastowany technicznie pałacyk remontuje sam. Przy wsparciu — a jakże! — całej rodziny.

Historia jakich wiele. Od zawsze marzyli o gromadce swoich dzieci. Skończyło się na jednym. Ale z myśli o gromadce nigdy nie zrezygnowali. To musiało ich w końcu doprowadzić tam, gdzie są: założenia rodziny zastępczej. Za zgodą — co podkreślają oboje — ich rodzinnego syna.

Spotkaliśmy się kilkakrotnie. Dom piękny, dzieciaki dorastały i pojawiały się kolejne. W końcu Ona i On zaczęli rozważać jeszcze inne rozwiązanie...

ZAMIESZANIE WCIAŻ TRWA

Przez wiele lat kwestie prawne związane ze wspieraniem rodziny i systemem pieczy zastępczej były załatwiane doraźnie, chociaż potrzebę całościowego uporządkowania wskazywali wszyscy zainteresowani. W końcu w 2011 roku pojawiła się ustawa, która nadała kształt i określiła zasady funkcjonowania i finansowania systemu. Zresztą była ona wielokrotnie nowelizowana.

„Uzawodowienie” rodzin zastępczych sprawiło, że wzrosło zainteresowanie tą formą zarabiania na życie. Taki dobór rodzin był niestety obarczony ryzykiem podjęcia nietrafnej decyzji.

Na spotkaniach z rodzinami zastępczymi w Olsztynie, na których bywałem (zawodowo), te kwestie zdawały się wtedy bardzo odległe. Dominowało poczucie misji, uczestnictwa w czymś ważnym. Rodziców zastępczych zagrzewali do boju Tomasz Polkowski i pedagodzy przekonani, że to lepsza forma opieki nad dzieckiem niż domy dziecka.

Problemy jednak narastały, a nieporozumienia zatrwa-

ły relacje pomiędzy rodzinami i ich pracodawcami: ośrodkami pomocy rodzinie czy ośrodkami pomocy społecznej. Coraz więcej historii — mniej lub bardziej skandalizujących — zaczęło przenikać do mediów. Negatywnymi bohaterami były zwłaszcza rodziny utworzone przez bliskich: babcie, ciotki (najczęstszy zarzut: bo robią to tylko dla pieniędzy). Rodzice zastępczy dla odmiany zaczęli zgłaszać pod adresem pracodawców pretensje dotyczące wysokości wynagrodzeń z jednej strony, a wsparcia z drugiej.

Ich pracodawcy z kolei chętniej kierowali dzieci do domów dziecka, które zresztą w niczym nie przypominały już placówek z lat 90. Zmieniły się nie tylko warunki, ale zostały one odczarowane poprzez choćby zmniejszenie liczebności wychowanków. Co zdaniem ich pracowników upodobniło je do rodzinnych domów dziecka. Te z kolei wytaczają działa z innymi argumentami: u nas nie ma zmianowości, jesteśmy z dziećmi całą dobę. A to znaczy — odpowiadają domy dziecka — że jesteście zmęczeni pracą bez wypoczynku.

To przetrucanie się argumentami i zamieszanie wokół systemu opieki nad dziećmi wciąż trwa, tak jak wciąż trwa poszukiwanie złotego środka — najefektywniejszego modelu. Ona i on uważają, że go znaleźli.

ONA I ON

Lata dwutysięczne...

Ona: — Siłą biologii starzejemy się. Dzięki doświadczeniom zdobytym w rodzinach zastępczych dojrzelismy do myśli o adopcji.

On: — Jestem na tak. Nasze dziecko będzie miało duuużo rodzeństwa.

To była nasza ostatnia rozmowa. Wiem tylko, że adopcja się powiodła. Ona i On zostali rodzicami kilkuletniej dziewczynki.

Podczas tego ostatniego spotkania (odbyło się w Olsztynie) oboje mi tłumaczyli, że ten wybór wynika z przekonania, że tak naprawdę dziecko czuje dom, kiedy ten dom staje się jego, kiedy nie jest „na zastępstwo”, ale na zawsze. Takie przekonanie, jak mi powiedzieli, starali się wyrobić w swoich dzieciach w rodzinie zastępczej, ale nie do końca są pewni tego, że im się to udało.

Mam nadzieję, że ich córka już nie ma co do tego wątpliwości.

Miroslaw Wiecek

Dzieci w pieczy zastępczej według powiatów



bartoszycki	124	4	27
braniewski	74	18	64
działdowski	80	0	37
M. Elbląg	278	0	76
elbląski	108	9	26
ełcki	229	18	65
giżycki	129	8	36
gołdapski	48	13	28
iławski	176	28	15
kętrzyński	91	13	27
lidzbarski	113	0	19
mragowski	78	0	39
nidzicki	44	31	0
nowomiejski	63	9	20
olecki	67	9	66
M. Olsztyn	214	0	105
olsztyński	258	45	62
ostródzki	180	36	103
piski	66	7	0
szczycieński	116	8	67
węgorzewski	40	0	0



Liczba dzieci w rodzinach zastępczych



Liczba dzieci w rodzinnych domach dziecka



Liczba dzieci w placówkach opiekuńczo-wychowawczych

Stan na 30 VI 2020 r.
Źródło danych: W-M UW

RODZINA Z TERMINEM WAŻNOŚCI



FOT. P. KALBAY

HISTORIE OSÓB, KTÓRYM PRZYSZŁO WYCHOWAĆ SIĘ Z DAŁA OD BIOLOGICZNYCH RODZIN, SĄ RÓŻNE. IM DŁUŻEJ SIĘ IM PRZYSŁUCHUJEMY, IM WNIKLWIEJ W NIE WCZYTUJEMY, TYM BARDZIEJ DOTRZEĆ DO NAS MOŻE JEDNAK TO, ŻE ŁĄCZY JE ŻYCIE W OCZEKIWANIU. NA POWRÓT (SWÓJ, RODZICA), NA NOWĄ RODZINĘ, NA DOROSŁOŚĆ, BĘDĄCĄ ALBO WYBAWIENIEM, ALBO PRZEKLEŃSTWEM.

RODZINA NA CHWILĘ

Tomek to klasyczny dowód na to, że można przeżyć całe dzieciństwo bez własnego miejsca. — Byłem wędrującym dzieckiem — mówi, siląc się na żart. — Krążyłem między matką a ojcem, którzy rozstali się, kiedy byłem w przedszkolu. Oboje pili, choć wtedy na pierwszy rzut oka trudno było ich o to podejrzewać. Pewnie dlatego dopiero pod koniec mojej podstawówki ktoś się zorientował, że nie jest dobrze. Przestałem chodzić do szkoły, bo od ojca miałem do niej za daleko. Mieszkał poza wsią, więc żeby dojść do autobusu, musiałem iść połą drogą kilka kilometrów. Nie chciało mi się. Ajemu nie chciało się pilnować, żebym to robił. Nauczycielka wezwała mnie na rozmowę.

**WTEDY COŚ WE MNIE
PĘKŁO I PIERWSZY RAZ
OPOWIEDZIAŁEM, JAK
WYGLĄDA MOJE ŻYCIE.**

Że matka pozbywa się mnie

przy każdej okazji, bo znalazła sobie jakiegoś faceta, a u ojca rzadko napalone w piecu. Że mam daleko do szkoły. Wychowawczynie obiecała pomóc. Trafiłem do rodziny zastępczej. To podobno był cud, bo byłem już „starszakim”. Bez krewnych, którzy chcieliby się mną zająć (jedyna ciotka, która to rozważała, bała się, że moja matka będzie ją nachodzić). Teoretycznie powinien czekać na mnie dom dziecka.

W tej rodzinie, jak relacjonuje Tomek, było w porządku. Dostawał jeść, jego ubrania były prane na bieżąco, ciocia i wujek byli mili. Ale nie mógł u nich zostać na zawsze. — Czulem to od początku. Okazało się, że chcą rozwiązać tę rodzinę. Ich własne dzieci były już dorosłe, zaczęły się rodzić wnuki, a oni zamiast pomagać, zajmowali się cudzymi dziećmi. Tak to przynajmniej sobie wytłumaczyłem, bo nie rozmawialiśmy o tym za dużo. Moja sytuacja wciąż była nieuregulowana — rodzice pojawiali się co jakiś czas. W końcu wróciłem do matki. Ona pierwsza stanęła na nogi, udowodniła przed sądem, że nie pije i dobrze rokuje. Przez pierwsze pół roku

było nieźle. Apóźniej... powtórka z rozrywki. Znajomi szybko się zorientowali, że widują moją matkę kupującą wódkę. Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale sam „naskarżyłem”. I znów trafiłem do rodziny zastępczej. Innej, oczywiście. To byli ludzie, którzy byli „zawodową rodziną zastępczą” nie tylko z nazwy. Traktowali nas, bo oprócz mnie mieli pod opieką jeszcze dwóch chłopaków, jak swoje obowiązki w firmie. Po 18 nie wolno było im przeszkadzać. Nie byli źli, ale dobrzy też nie. I chyba wtedy zacząłem sprawać trochę problemów... Zapadła decyzja, że idę do domu dziecka. Byłem starym koniem, a trafiłem do placówki, w której było kilkanaścioro dzieci różnym wieku. Najmłodsze miało 7 lat. Było mi ich szkoda, bo ja wiedziałem, że będę tu dosłownie kilka lat, więc brałem to na przeczekań, ale one? — pyta retorycznie Tomek.

ZUPA Z PACZKI

Co było najtrudniejsze w domu dziecka? — Święta. I to nie dlatego, że brakowało nam prezentów, ale dlatego, że wtedy chyba wszyscy bardziej

odczuwają brak rodziny. Mnie na początku zabierała do siebie babcia, ale kiedy zmarła, skończyły się moje „urlopowania”. Matka kogoś poznała i nawet wyjechała na jakiś czas z Polski. Do nas się nigdy nie odezwała. Zresztą mój brat, który nie mieszkał ze mną w placówce, bo przygarnęła go właśnie babcia (na mnie nie miała już siły, jak mówiła), też wyjechał. Do Niemiec. Zostałam tu sama — opowiada Ania, która dzisiaj ma 35 lat, męża i dwoje dzieci. — W domu dziecka trudno np. przyzwyczaić się do tego, że jest się jednym z wielu. W normalnych domach świat kręci się zwykle wokół dziecka. Widzę to po mojej rodzinie. Wszystko robimy z myślą o naszych synach. Ania przekonała się, że nie tylko żyć w domu dziecka jest trudno. Trudno jest też z niego wyjść. — Kiedy się usamodzielniałam, tygodniami jadłam zupy z paczki. Nie umiałam gotować. Nikt mnie tego nie nauczył — tłumaczy.

Domy dziecka opuszczają ludzie, którzy czasem wręcz nie zdają sobie sprawy z konieczności płacenia rachunków, przygotowywania posiłków itd. Potwierdza to raport NIK. Czy-

tamy w nim propozycje, by ten proces zaczynał się wcześniej: „Wychowanek powinien otrzymać proste zadania (opłaty, zakupy, większą dyscyplinę)”.

Te kłopoty, dorosłych wychowanków domu dziecka odnotowuje m.in. Agnieszka Golczyńska-Grondas Socjolożka z uniwersytetu w Łodzi do opisanie ich sytuacji używa metafory chybliwej łodzi. Bo, jak wyjaśnia, „osiągnięta przez nich względna stabilizacja” jest po prostu chwytliwa i uzależniona od wielu czynników. Ta „chybliwość” jest tym większa, im mniej odpowiedzialnych i godnych zaufania osób zgromadzi się — podążmy za metaforą badaczki — na pokładzie tej łodzi.

Tomka wsparła ciocia. Ta, która rozważała przyjęcie go do swojego domu. To ona załatwiała z nim sprawy urzędowe, podpowiadała, gdzie robić zakupy, żeby było taniej. Ania radziła sobie sama.

NOWA MAMA, NOWY TATA

— O tym, że jestem adoptowana, dowiedziałam się w dniu 18 urodzin — wspomina Kasia. — To była tak naprawdę najgłupsza rzecz, jaką zrobili moi rodzice. Nie wyznaje się takich rzeczy w takim dniu. Ściśle mnie z nóg. Chwilę wcześniej byłam beztrudną dziewczyną z dobrego domu. Lubianą, dość zamożną. Moim największym zmartwieniem był wybór szkoły do nauki jazdy! Najpierw czułam złość. Dosłownie obraziłam się na rodziców. Za to, że mnie oszukali. Ale chyba i za to, że w ogóle mi powiedzieli. Bo po co mi była ta wiedza?

NAGLE PRZESTAŁAM BYĆ KOCHANYM DZIECKIEM, A STAŁAM SIĘ, W SWOJEJ GŁOWIE, DZIECKIEM, KTÓREGO KTOŚ KIEDYŚ NIE CHCIAŁ.

Dowiedziałam się, że moja biologiczna matka miała 15 lat, kiedy mnie urodziła. Zostawiła mnie w szpitalu. Podobno byłam najpogodniejszym dzieckiem na oddziale. Tak powiedzieli mamie.

Czy Kasia nadal ma żal do rodziców? — Powiem szczerze: chyba tak. Ale ich kocham nad życie. Panicznie bałam się, że mnie stracę. Myślałam, że będę chciała szukać matki. Nie chciałam. Niech sobie żyje spokojnie. Dała mi życie, ale to moi adoptyjni rodzice mnie przez to życie przeprowadzili. W przypadku Kasi adopcja

była dość łatwa, bo niemowlę to marzenie wielu osób, które odwiedzają ośrodki adopcyjne. Ale okazuje się, że i te dzieci, których dokumentacja dawno spadła za szafkę, bo »nie znalazł kandydatów«, jak pisze Anna Krawczak (rozmowa z nią na stronach X-XI), znajdują czasem szczęście.

Tam, gdzie system szwankuje, z narzędziami do napraw i łatania dziur przybywają ludzie. Na Facebooku prężnie działa np. grupa matek adopcyjnych i zastępczych. To one, jak informuje Krawczak, w ciągu roku doprowadziły do finalizacji prawie 30 adopcji dzieci chorych, starszych, z obciążeniami. Poza tą trzydziestką, jak pisze Anna Krawczak, uratowane przed ZOL-em, DPS-em albo placówką zostały i inne dzieci.

ZA DUŻE OBCIĄŻENIE

W roli „ratowników” występują nie tylko ci, którzy wpuszczają dziecko do swojego domu, ale i ci, którzy ten dom tworzą w miejscach, w których jest to bardzo trudne. — Pracowałam w domu dziecka — mówi Marzena. — Kochałam tę pracę i nienawidziłam. Niszczyła mnie psychicznie. W ciągu 10 lat, które tam spędziłam, mieliśmy do czynienia z dwoma naprawdę trudnymi sytuacjami. Obie dotyczyły molestowania, o którym tak często pisze się właśnie jako o największym zagrożeniu cyhającym na dzieci w instytucjonalnej pieczy. My byliśmy pewni, że panujemy nad sytuacją, bo dużo rozmawialiśmy z dziećmi, tłumaczyliśmy, czym jest zły dotyk itd. Okazało się, że nie uchroniliśmy wszystkich... Wśród naszych wychowanków były osoby zadające cierpienie innym. Ta druga sytuacja doprowadziła mnie do podjęcia decyzji o rezygnacji z pracy, choć formalnie nikt nie oczekiwał zwolnienia ani wychowawców, ani dyrektora. Ale ja już od dawna czułam, że nie radzę sobie z tym obciążeniem psychicznym. Zabrzmiało to głupio, ale kiedy wracałam do domu, czułam, że zdradzam te dzieciaki, że je w jakiś sposób oszukuję. Dowód? Mimo nacisków ze strony męża, nie chciałam zająć się ciążą. Nie chciałam biologicznego dziecka, skoro tyle innych nie ma domu. Mogłam adoptować, prawda? Ale jak wybrać, komu dać szansę? W pierwszym miesiącu po zakończeniu pracy w domu dziecka zaszłam w ciążę.

Daria Bruszweska-Przytuła

BYŁAM W DOMU DZIECKA

ANGELIKA MIAŁA SIEDEM LAT, GDY TRAFIŁA DO RODZINY ZASTĘPCZEJ, ALE DOPIERO W DOMU DZIECKA W GRZYŁLINACH ZNALAZŁA BEZPIECZNE SCHRONIENIE. TERAZ 20-LATKA MIESZKA W TZW. MIESZKANIU USAMODZIELNIEN. CHOĆ TO DLA NIEJ NIEŁATWE, OPOWIEDZIAŁA NAM SWOJĄ HISTORIĘ.

— Jak znalazłaś się w pieczy zastępczej?

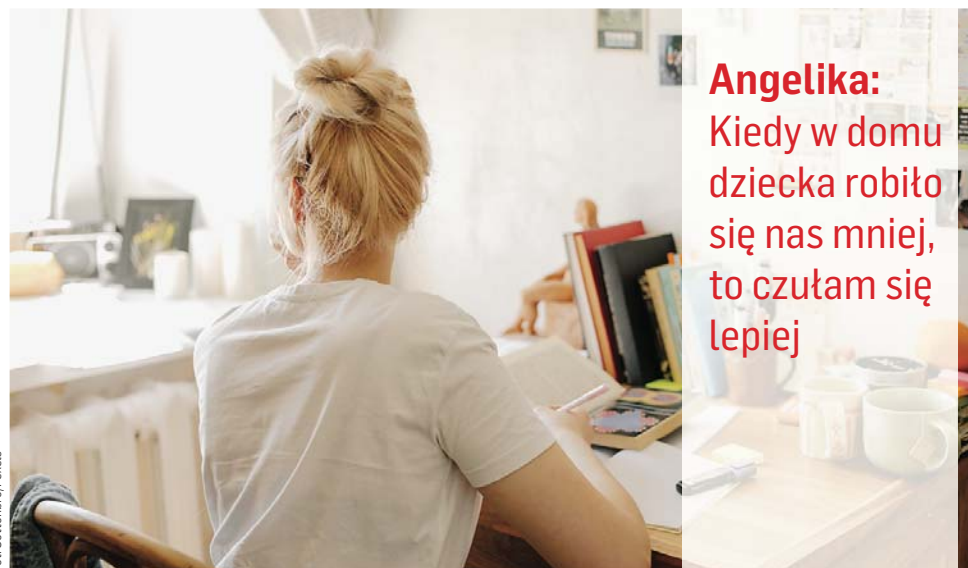
— Nasz tata nie mieszkał z nami, od mamy zostałam zabrana wraz z młodszą siostrą kiedy miałam 7 lat. Obie trafiłyśmy do rodziny zastępczej. Nie było mi tam kolorowo, to były ciężkie przeżycia, więc nie chcę wracać do nich myślami i o tym opowiadać. Ta rodzina zdecydowanie nie spełniała kryteriów dobrej rodziny zastępczej. Co pewien czas na kontrolę przyjeżdżała do nas pani z PCPR. Któregoś razu przekazałam jej, że nie podoba mi się w tej rodzinie. Powiedziała wówczas, że jedyne wyjście jest takie, że mogłabym zostać stamtąd zabrana do placówki. Miałam 13 lat, gdy zostałam przeniesiona i nie żałuję tej decyzji. Było mi przykro, że tak się stało, bo oczekiwałam zupełnie czegoś innego od tamtej rodziny. Wciąż uważam, że wychowywanie w pełnej rodzinie jest bardzo ważne, ale w moim przypadku o wiele bardziej sprawdziła się placówka.

— Twoja siostra nadal mieszka z tamtą rodziną zastępczą?

— Tak. Do tej pory nie mamy kontaktu i nie wiem co się z nią dzieje. Próbowałam się z nią skontaktować przez PCPR, ale dostałam odpowiedź, że mogę to zrobić wyłącznie przez list i że mam napisać, o co dokładnie mi chodzi. Nie wiem, czy to była odpowiedź wprost od niej czy napisana przez któregoś z tamtych rodziców zastępczych. Chyba nie wiedziałabym, co zawrzeć w takim liście, chodzi mi bardziej o zobaczenie siostry po latach. Zrezygnowałam więc z dalszych prób kontaktu. Myślę, że kiedy będzie miała taką potrzebę, to sama się do mnie odezwie.

— Czy dom dziecka, w którym mieszkałaś był dużą placówką?

— Kiedy tam trafiłam, mieszkało tam około 40-50 osób. Rozlokowani byliśmy w pokojach 1- lub 2-osobowych. Teraz dużo się zmieniało, placówki są prze-



Fot. Cotonino/Pevels

Angelika:
Kiedy w domu dziecka robiło się nas mniej, to czułam się lepiej

kształcane w maksymalnie 14-osobowe. Myślę, że to o wiele lepsze rozwiązanie, bo im więcej dzieci, tym większy chaos. Kiedy ja mieszkałam w domu w Gryźlinach, w weekendy dużo dzieci dostawało przepustki do domów rodzinnych. Kiedy robiło się nas mniej, to czułam się lepiej. Było kameralniej i bardziej rodzinnie, wówczas na przykład razem z opiekunami gotowaliśmy.

— W placówce udało ci się nawiązać przyjaźnię?

— Jakiejś głębszej przyjaźni nie nawiązałam, ale dogadywaliśmy się między sobą. Nie było większych sporów.

— A jak wyglądały twoje relacje z opiekunami?

— Przez cały czas miałam jednego opiekuna. Słyszałam, że wielu osobom zmieniali się opiekunowie, ale nie było tak w moim przypadku. Do swojego mogłam się zwrócić o pomoc z każdą sprawą. Porozmawiać, wypłakać się, jeśli była taka potrzeba. Była to dla mnie obca osoba, która po pewnym czasie stała się bliższa niż rodzice.

— Czy podczas pobytu w domu miałaś wsparcie psychologów?

— Codziennie od poniedziałku do piątku pracowała tam pani psycholog. Każdy,

kto chciał się do niej zwrócić z prośbą o pomoc, mógł to zrobić. Czasem nawet to pani psycholog podchodziła do nas i zagadywała, jak się czujemy. Widać było, że się starała. Kiedyś pracowała z nami też pani terapeutka zajęciowa, która organizowała zajęcia plastyczne. Teraz chyba coś zmieniło się w przepisach i nie ma już tam takiej osoby.

— Z punktu widzenia materialnego czegoś ci brakowało?

— Nie mogę narzekać, nie brakowało mi niczego. Dzieci za dobrą średnią w szkole dostawały dodatkowe pieniądze, które mogły wykorzystać na własne wydatki. Za moich czasów było to 500 złotych na rok.

— Czy oprócz tego otrzymywaliście inne pieniądze, którymi mogliście swobodnie dysponować?

— Dostawaliśmy kieszonkowe, którego wielkość też zależała od naszego zachowania. Było ono wypłacane co miesiąc.

— Dwa lata temu skończyłaś 18 lat. Gdzie teraz mieszkasz?

— W tzw. mieszkaniu usamodzielnienia w Gryźlinach wraz ze współlokatorką. Dobrze, że są takie miejsca dla byłych wychowanków domów. Za mieszkanie nic nie płacimy. Moja współlokatorka studiuje zaocznie, a ja jestem w klasie

maturalnej w technikum. Dostajemy od PCPR pomoc finansową za kontynuowanie nauki, to około 500 złotych miesięcznie. Jeśli mieszkałabym na stacji, to dostałabym jeszcze 300 złotych na opłacenie lokum.

— To jedyne pieniądze, którymi dysponujesz w tej chwili?

— Dostaję jedynie te 500 złotych. Jeżeli potrzebuję więcej pieniędzy, to idę do pracy jako kelnerka. Jakoś sobie radzę. A jeśli potrzebujemy chemii czy jakichkolwiek innych rzeczy, to możemy zwrócić się do domu dziecka. Wtedy zawsze możemy liczyć na pomoc. Wypożyczyłam od nich laptopa do nauki, mogę też poprosić ich na przykład o wydrukowanie materiałów potrzebnych do szkoły.

— Jakie są twoje plany na przyszłość?

— Na razie uczę się w technikum o profilu technik architektury krajobrazu. Nie wybieram zbyt daleko w przyszłość, nie mam określonych planów. Ale na pewno chciałabym dobrze napisać maturę i pójść na studia, by kształcić się dalej. A potem być może mieć własną rodzinę i dzieci. Chciałabym, żeby niczego im nie brakowało i żeby miały to, czego ja w dzieciństwie nie dostałam.

Dominika Raszkievicz

— Jesteś psychologiem, psychoterapeutą i pedagogiem. Współpracujesz nie tylko z dziećmi, ale też z ich rodzicami i opiekunami.

Jasno mówisz jednak, że nie każdemu podopiecznemu domu dziecka da się pomóc.

— Z wielu miejsc w kraju zgłaszają się do mnie rodzice adopcyjni, którzy myśleli, że obdarzą dziecko miłością i to wystarczy, by się dobrze rozwijało. A nie zawsze to działa, bo dziecko, w zależności od wieku, przychodzi z różnymi traumami, jest zaniedbane, często nawet uszkodzone alkoholem, który w czasie ciąży piła matka. Coraz rzadziej, ale nadal, zdarza się też, że rodzice adopcyjni dowiadują się różnych rzeczy już po fakcie. Dziecko powinno być dobrze zdiagnozowane, ale nie każdy problem da się od razu rozpoznać, wychodzą więc z czasem.

Przygotowywałem do pełnienia funkcji rodziny zastępczej pewnie kilkadziesiąt rodzin. Część rodziców zarzuca mi, że za dużo opowiadam o trudnościach, które mogą wystąpić — że przesadzam i opisane przeze mnie sytuacje na pewno się nie zdarzą. Wielu przyznaje po latach, że moje słowa się jednak sprawdziły.

To, co teraz powiem, jest mało popularne, ale niektórym dzieciom nie można pomóc. Są niestety tak zaniedbane i zniszczone przez dorosłych, że mimo serwisu, pomocy i dużego zainteresowania ze strony rodziców zastępczych, i tak będą cierpieć do końca życia.

Dużo dzieci z rodzin zastępczych i domów dziecka zmaga się z reaktywnym zaburzeniem przywiązania. Najkrócej rzecz ujmując, po tym, jak były zaniedbywane przez najbliższych dorosłych, mają duże trudności w tym, żeby zaufać kolejnemu dorosłemu, który chce się nimi zająć. Dziecko myśli sobie „będziesz następną osobą dorosłą, która mnie skrzywdzi, która mnie porzuci”. W związku z tym w niektórych przypadkach u dzieci pojawia się kłopot w nawiązaniu wystarczająco głębokiej relacji z opiekunem, a jeżeli nie ma bliskich relacji, to trudno działać dalej.

— I co z tymi dziećmi, które po tym, jak trafiły do placówki, nie zaznały już rodzinnego ciepła?

— Część tych dzieci wypada z systemu opieki i trafia do resocjalizacji, albo kończy w młodzieżowych ośrodkach wychowawczych. Mam znajomych, którzy pracują w za-

SĄ DZIECI, KTÓRYM JUŻ NIE MOŻNA POMÓC

NIEKTÓRE DZIECI SĄ TAK ZNISZCZONE PRZEZ DOROSŁYCH, ŻE BĘDĄ CIERPIAŁY DO KOŃCA ŻYCIA — PRZYZNAJE DARIUSZ WASIŃSKI. SAM TRAFIŁ DO DOMU DZIECKA, MAJĄC ZALEDWIE 11 LAT I NIE OPUŚCIŁ GO PRZEZ KOLEJNE 14. Z DNIA NA DZIEŃ Z WYCHOWANKA STAŁ SIĘ WYCHOWAWCĄ.

kładach poprawczych i kiedy prześledzili losy swoich wychowanków, okazało się, że większość zaczyna od pobytu w domu dziecka, potem ośrodek socjoterapii, czasem między tym a tym rodzina zastępcza, następnie zakład wychowawczy, potem więzienie dla młodocianych, czyli zakład poprawczy, a potem już więzienie dla dorosłych.

Część potrafi zawrócić z tej drogi, ale taki jest najczęstszy scenariusz.

— Twój był zupełnie inny. Spędziłeś w domu dziecka kilkanaście lat, miałeś nawet szansę wrócić do rodziców, ale postanowiłeś zostać. I zostałeś na długo, bo z wychowanka stałeś się wychowawcą, a później dyrektorem. Ale wróćmy do tego przestraszonego 11-latka, pamiętasz, co wtedy czułeś?

— Pamiętam, że kiedy zostałem zabrany ze szkoły, usłyszałem, że wybieramy się



Fot. archiwum prywatne

Dariusz Wasiński: Wiele odrzuconych przez rodziców dzieci obwinia samych siebie za to, że tak się stało. Uważają, że to one nie były wystarczająco dobre.

na wycieczkę. Czasami śmieję się z przekazem, że ta wycieczka trwała 14 lat.

Najpierw trafiłem do pogotowia opiekuńczego, które kiedyś mieściło się przy Bema w Elblągu. Pobyt tam kompletnie wyparłem, nie pamiętam prawie nic. Wiem, że jak trafiłem do placówki, mając 11 lat, cierpiałem jak oszalały. Nie wiedziałem, co się dzieje i dlaczego nie jestem w domu. To było szok nie do opisania — szok, ból i przerażenie.

Trafiłem do placówki, gdzie było ponad 100 wychowanków, a sypialnie były 15-osobowe. Po prostu szafka, łóżko, szafka, łóżko i tak dalej. Pamiętam jeszcze paskudne meblościanki i wiszące modele samolotów zrobione z papieru. Warunki materialne były złe, jedzenie też nie najlepsze. Wydaje mi się jednak, że było prościej i normalniej niż dziś — były jakieś zasady. Było też oczywiście i drugie

życie, jak teraz, ale wydaje mi się, że teraz jest więcej przemocy, a dzieci oglupione są mediami. Wtedy dużo pracowaliśmy — w ogrodzie czy w sadzie — pomagaliśmy po prostu w przydatnych obowiązkach. Dzisiaj dziecko powie raczej, że od tego jest przecież sprzątaczką.

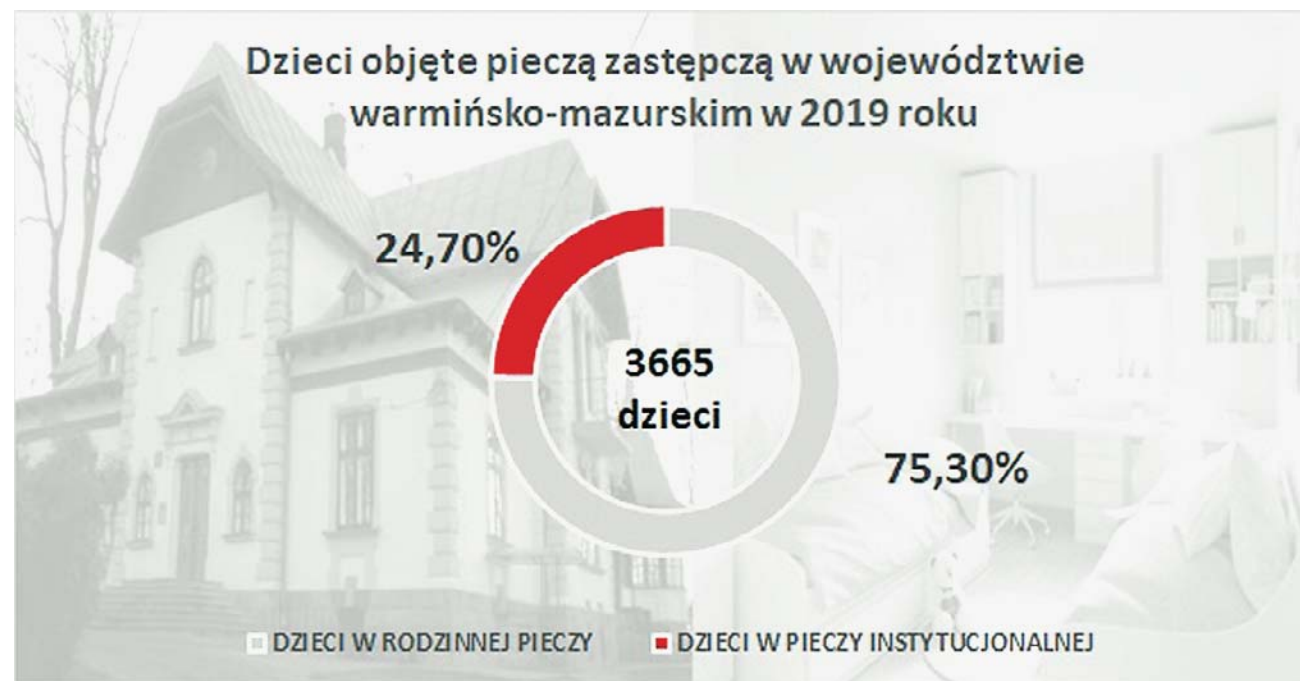
Przyszła też nowa odmiana przemocy — cyberprzemoc. Gdybym miał wybierać, to wolałbym jednak pozostać w tych starych czasach. Nie mówię, że było pięknie i cukierkowo, że nie było przemocy. Oczywiście, że była, był i alkohol. Kiedyś nie było tak wymyślnych narkotyków jak teraz, ale części moich kolegów zdarzało się wachać klej. Dowiedziałem się, gdy jeden z nich biegł po podwórku, widząc krasnoludki. Tak się dzieciaki odurzały wtedy, nie było zioła, ale papierosy i alkohol, jak teraz, na porządku dziennym.

Ja stworzyłem sobie niszę, udało mi się, bo byłem zakochany w książkach i czytaniu. Zawsze byłem dobrym uczniem i to też pomogło mi pójść własną drogą. Wybrałem sobie nawet zpremedytowaną kierunek studiów — historię archiwistyczną — żeby nie mieć nic wspólnego z ludźmi. Skończyłem ją, ale to było kompletne nieporozumienie. Potem wszystko musiałem szybko robić i w wieku 25 lat jednego i tego samego dnia przestałem być wychowankiem i stałem się wychowawcą. Jeszcze w trakcie studiów.

Prawda jest taka, że te 11 lat, które spędziłem z rodzicami, miało dla mnie bardzo duże znaczenie. Badałem kiedyś, jak wiek, w którym dziecko trafi do placówki, wpływa na jego przyszłe losy. Wydawać by się mogło, że im szybciej zabierze się małe dziecko z rodziny biologicznej i umieści w placówce, gdzie otrzyma specjalistyczną pomoc, właściwe warunki i jedzenie, to będzie lepiej. Okazuje się jednak, że im dziecko trafiające do placówki jest młodsze, tym poważniejsze konsekwencje odczuwać może w przyszłości.

Warto zatem, by, tam, gdzie oczywiście są ku temu warunki, bo nie mówię o skrajnych zaniedbaniach, dzieci jak najdłużej przebywały w rodzinie biologicznej lub trafiły do dobrze przygotowanej rodziny zastępczej.

Z drugiej strony, czasem dla nastolatka dobra placówka z sensownym programem może nie być gorsza od rodziny zastępczej. Ja, będąc jeszcze wychowankiem, miałem żywy kontakt z moją rodziną



ispędzałem z nią prawie każde święta.

W ósmej klasie mogłem wrócić do domu, ale wtedy wybrałem, nie wiem, czy dobrze, że zostanę tam, gdzie mam lepsze warunki do nauki. Nie chciałem wracać, może trochę przemawiała przeze mnie złość, ale stwierdziłem, że mój świat jest gdzie indziej. Kiedyś też pojawiła się propozycja stworzenia dla mnie rodziny zastępczej, z tego, co pamiętam, byłem zdumiony. Powiedziałem, że przecież mam rodziców i nie jestem zainteresowany.

— Po piętnastu latach z wychowawcy stałeś się dyrektorem. Pamiętasz pierwsze zmiany, które wprowadziłeś?

— Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem, była wymiana jarzeniówek. Pamiętam, że jak się wchodziło i włączało te jarzeniówki, to nie dość, że były głośnie, to dawały takie nieprzyjemne przemysłowe światło. Stwierdziłem, że trzeba jak najszybciej je zmienić.

Kolejny był remont budynku i poprawa całej infrastruktury. Udało nam się nawet wykopać staw dla dzieci. Nie musiały już chodzić na wiejski stawek, bo mogły bezpiecznie kąpać się pod samym domem.

Zaczęliśmy też tworzyć programy, które miały jeszcze bardziej i w sensowny sposób pomagać dzieciom. Rozpoczęliśmy bardzo intensywne

prace nad tym, by dzieciaki miały kontakt z rodzicami, odwiedzały ich i, co najważniejsze, wracały do domów.

Pracowaliśmy więc z rodzinami biologicznymi i zabiegaliśmy o to, by rodzice pamiętali o swoich dzieciach. A te, mając lepszy kontakt z rodzicami i wiedząc, że wszystko jest z nimi w miarę dobrze, były spokojniejsze.

— Jak myślisz, po latach obserwacji, co sprawia, że w domach dziecka pojawiają się kolejni podopieczni?

— Gdybym usłyszał to pytanie 10 lat temu, odpowiedziałbym, że z powodu biedy. Może w dalszym ciągu rodzice, którym odbierane są dzieci, nie są najbogatsi, ale, w związku z tym, że jest

wsparcie, mają środki, by dziecko wychować. Dzisiaj największy problem to alkohol, ale też niewydolność wychowawcza i niewielkie zainteresowanie dziećmi. Rodzice mają swoje problemy i trudno im znaleźć czas dla dzieci. Kolejną przyczyną jest też brak realizowania we właściwy sposób obowiązku szkolnego.

Bieda już od kilku dobrych lat nie jest przyczyną odbierania dzieci rodzicom. Teraz to raczej kwestia nieporadności dorosłych.

Często dzieci powtarzają też losy swoich rodziców — w domu dziecka był ojciec, jego dziecko i kolejne też ma szansę tam trafić. Kiedy dzieci moich byłych kole-

gów z domu dziecka zaczęły trafiać do placówki, trudno było mi spokojnie obok nich przejść.

— Można zrobić coś, żeby sytuacja tych odrzuconych dzieciaków się poprawiła?

— Według mnie nadal za mało pracuje się z rodziną biologiczną. Niestety bywa jednak i tak, że dziecko wraca z rodziny biologicznej do placówki, ponieważ nie otrzymało z rodziną wystarczającego wsparcia. Nie chodzi bowiem o to, by wysyłać do nich takich asystentów rodziny, którzy przychodzą i tylko rozkazują rodzicom. Powinna zostać wykonana sensowna praca, chociaż ta, zwłaszcza z rodzicami, którzy są słabo zmotywowani, jest bardzo trudna.

Co gorsze, asystenci rodzin nie za swoją niezwykle trudną pracę zarabiają niewielkie pieniądze, są zwyczajnie niedoceniani. Pracowałem trochę w tym środowisku i wiem, że nie utrzymałbym się za takie pieniądze. Podobnie jest m.in. z koordynatorami rodzin zastępczych, pracownikami domów dziecka, czy opiekunami zastępczymi.

W wielu domach dziecka mamy do czynienia z naprawdę bardzo oddaną kadrami. W związku z tym, że tak mało się płaci pracownikom tego typu placówek, zwyczajnie odchodzą, bo trudno im utrzymać rodzinę. A szkoda, bo to bardzo cenne osoby, których, ze względów finansowych, nie stać na tę pracę.

Kamila Kornacka

SŁUCHAMY DZIECI

KIEDY 37 LAT TEMU ROZPOCZYNAŁAM PRACĘ, W DOMU W GRYŻLINACH BYŁO PRAWIE 70 WYCHOWANKÓW. DZIŚ W TYM SAMYM BUDYNKU MIESZKA 14 DZIECI — MÓWI JOLANTA GUSZCZANOWSKA, ZASTĘPCZYNI DYREKTORA POWIATOWEGO CENTRUM POMOCY RODZINIE W OLSZTYNIE Z SIEDZIBĄ W OLSZTYNKU.

— Jak wygląda sytuacja instytucjonalnej pieczy zastępczej w powiecie olsztyńskim?

— Obecnie prowadzimy cztery domy dla dzieci, w których przebywa 57 wychowanków. W ostatnim czasie bardzo poprawiły się warunki, w jakich mieszkają. Dzieci mają pokoje 1 lub 2-osobowe oraz aneksy kuchenne. Stopniowo zmniejsza się liczba dzieci przebywających w placówkach. Kiedy 37 lat temu rozpoczynałam pracę, w domu w Gryżlinach było prawie 70 wychowanków. Dziś w tym samym budynku mieszka 14 dzieci. Wyraźnie spada liczba dzieci, które są zabierane bezpośrednio ze środowiska rodzinnego. Być może wpływ na to ma świadczenie wychowawcze 500+. Wcześniej bowiem zdarzało się, że dzieci odbierane były rodzicom ze względu na nieodpowiednie warunki materialno-bytowe.

— Kto decyduje o tym, że dziecko trafi do placówki, a nie pod opiekę rodziny zastępczej?

— Instytucją, która decyduje o tym, że dziecko w ogóle trafia do pieczy zastępczej, jest sąd rodzinny. Postanowienie trafia do odpowiedniego centrum pomocy rodzinie. Wówczas rozpatrywane są różne możliwości. W pierwszej kolejności zawsze poszukuje się miejsc w zawodowych rodzinach zastępczych bądź u osób spokrewnionych z dzieckiem. W powiecie olsztyńskim jest wiele rodzin zawodowych, ale niestety nie zawsze mogą przyjąć kolejne dziecko. Absolutnym priorytetem jest jednak wiek dziecka.

DO PLACÓWEK PRZYJMOWANE SĄ TYLKO DZIECI POWYŻEJ 10 ROKU ŻYCIA.

Oczywiście, zdarzają się jednostkowe sytuacje, na przykład niepełnoletnia wychowanka z dzieckiem lub konieczność zaopiekowania się rodzeństwem, wśród którego jest młodsze dziecko. Wówczas kierując się dobrem dzieci, staramy się ich nie rozdzielać i nie stwarzać dodatkowych traumatycznych przeżyć.

— Do końca 2020 roku samorządy muszą zmniejszyć liczbę miejsc w domach dziecka z 30 do 14. Czy ten cel udało się osiągnąć w powiecie olsztyńskim?

— We wszystkich naszych domach do końca grudnia będzie przebywało po 14 wychowanków, plus wychowankowie na co dzień przebywający w młodzieżowych ośrodkach socjoterapii bądź młodzieżowych ośrodkach wychowawczych. By przyjąć dziecko ponad te określone przepisanymi czternastką, należy uzyskać zgodę wojewody.



— Czy pani zdaniem zastępcza piecza rodzinna jest zawsze lepsza od instytucjonalnej?

— To nigdy nie jest zero-jedynkowe. Niektóre dzieci świetnie odnajdują się w domach dziecka. Pamiętajmy, że obecnie to kameralne domy i dzieci bardzo dobrze w nich funkcjonują. Oczywiście nie ma tam stałej opieki dwóch osób jak w rodzinie, bo wychowawcy się zmieniają, ale z mojego doświadczenia wynika, że nie wszystkie dzieci dobrze odnajdują się w rodzinach. Z różnych względów wolą przebywać w placówkach. Zdarzają się sytuacje, w których dzieci z rodzinnej pieczy zastępczej trafiają do domów dziecka i bardzo sobie to chwala. Bywa też odwrotnie — że z domów dziecka chętnie „przechodzą” do rodzin i są szczęśliwe. Nie chcemy forsować żadnej opcji na siłę. Decyzje podejmowane są

po uzgodnieniu i odczytaniu potrzeb wychowanka.

— Czy dobrym rozwiązaniem byłaby zupełna likwidacja domów dziecka?

— Z mojego doświadczenia wynika, że niemożliwa jest ich całkowita likwidacja. Musi istnieć taka instytucja, gdzie dzieci z różnymi osobowościami i problemami, które nie odnajdują się w rodzinach, mają swój kącik i są pod dobrą opieką.

— Jakie wsparcie otrzymują wychowankowie, którzy kończą 18 lat i opuszczają domy dziecka?

— Dziecko, które postanawia się usamodzielnąć, wcześniej deklaruje to wychowawcy i razem z nim omawia szczegóły tego usamodzielnienia. Wówczas rozmawiają między innymi o tym, gdzie dziecko będzie mieszkało. Jeżeli ma taką możliwość, to najczęściej powraca do swojego domu rodzinnego. Natomiast inne dzieci korzystają z tzw.

mieszkań usamodzielnień albo przebywają na stacjach. Otrzymują wówczas dofinansowanie do stacji z MOPS. Jeżeli wychowanek dalej się uczy, a zdecydowana większość tak właśnie robi, to do 25 roku życia otrzymuje pomoc finansową z PCPR — miesięcznie jest to nie mniej niż 500 złotych.

O SIEMNASTOLATEK DOSTAJE TAKŻE JEDNORAZOWĄ POMOC NA TZW. ZAGOSPODAROWANIE. JEJ WYSOKOŚĆ NIE JEST NIŻSZA NIŻ 1500 ZŁOTYCH, A W PRZYPADKU OSOBY POSIADAJĄCEJ ORZECZENIE O UMIARKOWANYM STOPNIU NIEPEŁNOSPRAWNOŚCI — NIE NIŻSZA NIŻ 3000 ZŁOTYCH.

Każdemu wychowankowi wypłacana jest również jednorazowa pomoc na usamodzielnienie, uzależniona od jego czasu pobytu w pieczy. Wynosi ona od 1650 zł do 6600. Z kolei wychowawcy z domów dziecka nawet po usamodzielnieniu oferują swoim podopiecznym pomoc na przykład w napisaniu pisma do urzędu czy znalezieniu pracy. Wychowankowie nie zostają sami.

Dominika Raszkievicz

— Czy trudno zostać rodzicem zastępczym?

— Nie. Trzeba po prostu naprawdę chcieć. A potem skierować się do działu pieczy zastępczej ośrodka pomocy społecznej i przejść proces kwalifikacji: m.in. rozmowy z pedagogiem i psychologiem. Później są też szkolenia i praktyka w domu dziecka, sprawdzone zostają warunki lokalowe i zarobki.

— No właśnie: zarobki. Rodzic zastępczy może liczyć na wsparcie finansowe, prawda?

— Tak, za sprawowanie opieki nad dziećmi dostają wypłatę. Poza tym mamy przyznane środki na utrzymanie każdego dziecka, które obecnie wynoszą (łącznie ze świadczeniem wychowawczym) 1550 zł. Możemy też ubiegać się np. o środki na wydatki związane z przyjęciem nowego dziecka, czyli zakup łóżka, szafy... Brałismy udział w projekcie, dzięki któremu wyjechalismy na wakacje, to bardzo pomaga.

— Pieniądze mogą być źródłem nieporozumień. Podejrzliwi uważają, że rodziny zastępcze „dorabiają się” na dzieciach.

— To trudny temat. Wiem, że są ludzie, którzy tak myślą... I wiem, że może się zdarzyć, jak wszędzie, i taki przypadek niezbyt uczciwych osób. Ja dostałam zgodę organizatora rodzinnej pieczy zastępczej na podjęcie pracy, więc dzieci, które są pod naszą opieką, wychowują się w rodzinie jakich wiele. Bardzo zależało nam na tym, żebyśmy mogli normalnie funkcjonować. Dzieci chodzą więc do przedszkoli i szkół, a dorośli do pracy. Dzięki temu możemy zapewnić im lepsze warunki, korzystać z prywatnej opieki lekarskiej.

— Przez lata mówiono, że zamiast płacić rodzinie zastępczej, wystarczyłoby przyznać środki rodzicom biologicznym...

— Zanim dojdzie do odebrania dziecka, rodzina ma zapewniony dostęp do różnych form wsparcia: są asystenci rodzinny, pracownicy socjalni, jest MOPS, są kuratorzy sądowi. Kiedyś sama nie wierzyłam, że tak jest, ale odkąd przyglądam się temu od środka, wiem, że systemowo robi się wiele dla rodzin biologicznych. Żeby dziecko zostało odebrane rodzicom, muszą się oni „postarać”. A potem, żeby go nie odzyskać, muszą się nie wywiązywać z zasad. I, niestety, tak się często dzieje.

— Czy rodziny zastępcze są w jakiś sposób kontrolowane?

— Ja tego nie nazywam kontrolą, lecz wsparciem, ale faktycznie mamy przydzielonego



DZIECI Z TRUDNYM BAGAŻEM

CELINA MILEWICZ PO ŚMIERCI MAMY I BABCI MIESZKAŁA W RODZINNYM DOMU DZIECKA. TERAZ, W OLSZTYNIE, SAMA TWORZY RODZINĘ DLA TYCH, KTÓRYM LOS ROZDAŁ KIEPSKIE KARTY. ONA I JEJ MAŻ POD OPIEKĄ MAJĄ CZWORO DZIECI, WYCHOWUJĄ TEŻ SWOJEGO BIOLOGICZNEGO SYNA.

koordynatora. To do niego mogą się zwrócić, jeśli mam jakieś wątpliwości. Koordynator odwiedza nas w domu, sprawdza, jak nam się żyje. Jest prawdziwym wsparciem dla naszej rodziny. Nie jest jednak tak, że otwieram lodówkę, a tam MOPS (śmiech). Żyjemy normalnie.

— To poczucie normalności jest ważne, szczególnie dlatego, że dzieci są u was przejściowo.

— To prawda. Pod naszą opieką dzieci są do czasu uregulowania ich sytuacji prawnej. W pierwszej kolejności staramy się wspólnie o to, żeby mogły one wrócić do rodzinnego domu.

— I któreś z waszych dzieci wróciło?

— Niestety, to nie zdarza się często. Nie zdarzyło się dotąd i w wypadku dzieci, którymi się opiekujemy.

— Dlaczego?

— Z przykrością muszę powiedzieć, że rodzice nie wywiązują się ze swoich zobowiązań. Dzieci mają np. prawo kontaktowania się z rodzicami biologicznymi, ale ich bliscy nie zawsze korzystają z tej możliwości. Widzimy wtedy zawód w oczach dziecka i to my musimy tłumaczyć, dlaczego mama nie pojawiła się na spotkaniu. To bardzo trudne. Często wiemy, co przedłożyła nad taką wizytę, ale przecież nie możemy tego powiedzieć dziecku. Ten czas, kiedy dzieci są w pieczy zastępczej, trwa też za długo.

Bywa więc, że rodzice przyzwyczajają się do tej sytuacji, to zaczyna być dla nich wygodne. A cierpią dzieci. Bo czekając na wyjaśnienie swojej sytuacji, przywiązują się do rodziców zastępczych, to oni stają się „mamą” i „tatą”. A później, jak przychodzi szansa na adopcję, jest to dla nich trudne doświadczenie.

— Takie kilkuletnie dzieci pewnie tęsknią za rodzicami, marzą o powrocie?

— Oczywiście. Dzieci wierzą, że mama po nie wróci i bardzo na to czekają. Tworzą też mnóstwo usprawiedliwień dla rodzica, który np. nie pojawia się na spotkaniu. Nasze dzieci mówią, że mama nie przychodzi, bo buduje dla nich dom.

— Dzieci czekają, a szanse na adopcję maleją...

— Oile dla niemowlaków rodzice adopcyjni łatwo się znajdują, o tyle na starsze dzieci aż tyle osób nie czeka. To po pierwsze. Po drugie sprawy w sądzie się ciągną, bo np. na rozprawie matka biologiczna deklaruje, że chce odzyskać dziecko, ale potrzebuje więcej czasu, żeby sobie poukładać życie.

— Jeden z waszych podopiecznych jest u was dwa lata, a nadal nie wiadomo, co dalej. Zakładam, że uczono was, jak sobie radzić z przywiązaniem, ale nie wierzę, że czasem emocje nie biorą góry nad rozsądkiem... Pożegnania są trudne?

— Jedno z naszych dzieci, bo tak onich mówimy, zostało adoptowane po roku u nas. Nie ukrywam: czuliśmy pustkę. I czujemy. W domu wiszą zdjęcia tej dziewczynki, czasem ją wspominamy, ale staram się myśleć to o tym, jak o czymś, co było dla niej najlepsze. Już nie ma cioci i wujka, ma mamę i tatę.

— Macie możliwość kontaktowania się z nią?

— To zależy od dobrej woli dwóch stron. W tym przypadku zdecydowaliśmy, że nie będziemy się z nią na razie spotykać, żeby nie mieszać jej w głowie. Ale mamy kontakt z jej rodzicami, dają nam znać, co słychać, przysyłają zdjęcia. To, że ona jest szczęśliwa, niweluje smutek rozstania.

— Dzieci nie próbują mówić do was „mamo” czy „tato”?

— Oczywiście, że tak mówią, szczególnie te młodsze. Nie zabraniamy im, ale podkreślamy, że jesteśmy ciocią i wujkiem.

— Skąd wzięta się w pani potrzeba założenia rodziny zastępczej?

— Sama dość wcześnieostałam sierotą. Najpierwzaopiekowała się nami babcią, ale kiedy i ona zmarła, musiałam zamieszkać w pogotowiu opiekuńczym. Z niego trafiłam do rodzinnego domu dziecka. Dość długo dojrzewałam do myśli o stworzeniu takiej rodziny. Oboje z mężem konsultowaliśmy ją z naszym biologicznym synem, który teraz ma prawie 10 lat. To była przemyślana decyzja.

MAMY ŚWIADOMOŚĆ, ŻE OPIEKUJEMY SIĘ DZIEĆMI Z OGROMNYM BAGAŻEM, A TYM BAGAŻEM JEST TEŻ ICH RODZINA, KTÓRA POJAWIA SIĘ W ICH ŻYCIU.

Nie wiemy też, kiedy dadzą osobie znać różne deficyty dzie-

ci, kiedy na jaw wyjdą doznane przez nie traumy. To trudne.

— Jak zapamiętała pani czas w pogotowiu i w rodzinnym domu dziecka?

— Dobrze. To zabrzmiało dziwnie, ale w mojej ocenie miałam dość komfortową sytuację wynikającą ze świadomości, że jestem sierotą: nie czekałam w nieskończoność na mamę czy tatę, nie miałam złudnych nadziei. Do naszych rodziców zastępczych zwracaliśmy się „mamo” i „tato”, mamy ciągle kontakt, odwiedzamy się.

— W pogotowiu opiekuńczym nie bała się pani, że zostanie rozdzielona z rodzeństwem?

— Oczywiście, że się bałam. Baliśmy się wszyscy. Jest nas sześcioro, więc był plan, żeby nas rozdzielić, bo w placówce mogliśmy być tylko przez jakiś czas. Poprosiliśmy jednak, żeby zaczekano, aż znajdzie się rodzina, która zabierze nas wszystkich. I tak się stało. Co ciekawe, pamiętam też, że wiele dyskusji dotyczących rodzinnych domów dziecka, toczyło się na kanałach w domu, do którego trafiliśmy. Brał w nich udział Tomek Polkowski, szef stowarzyszenia „Nasz dom”, który był dla mnie inspiracją. Mamy do dzisiaj kontakt, bardzo nas wspiera.

— Ma pani jakieś przesłanie dla osób, które wahają się, czy podjąć wyzwanie i stworzyć rodzinę zastępczą?

— Nie bójcie się. Jeśli ktoś czuje się dobrze sam ze sobą i swoją rodziną i czuje, że ma jeszcze trochę miejsca w sercu i chęci, to naprawdę warto. Mogę zapewnić, że uśmiech dzieci rekompensuje każdy podjęty trud.

WARTO POKAZAĆ DZIECIOM, ŻE MOŻNA ŻYĆ NORMALNIE.

— Co dobrego wyniknęło z tego doświadczenia dla pani rodziny?

— Z przyjemnością patrzę na mojego biologicznego syna, który jest bardzo empatyczny i opiekuńczy. A przecież, kiedy zastanawialiśmy się nad tym, czy możemy zostać rodzicami zastępczymi, to o niego martwiliśmy się najbardziej. Niepotrzebnie. Jestem dumna, że powiedział w szkole o tym, że opiekujemy się innymi dziećmi i że świetnie sobie radzi z tym, że dzieci „kradną” mu czasem rodziców.

— A państwo? Nie czujecie się okradzeni z czasu czy energii?

— Nie zawsze jest łatwo, ale nie mamy wątpliwości, że dobrze zrobiliśmy. Myślimy o tym, żeby za jakiś czas zacząć prowadzić rodzinny dom dziecka.

Daria Bruszeńska-Przytuła

RODZIC ZASTĘPCZY – CZY DALIBYŚCIE RADĘ?

KIEDY RODZICE BIOLOGICZNI NIE MOGĄ LUB NIE POTRAFIĄ WYPEŁNIAĆ SWOICH OBOWIĄZKÓW, MUSI KTOŚ ICH ZASTĄPIĆ. O TYM, KTO MOŻE ZOSTAĆ RODZICEM ZASTĘPCZYM, ROZMAWIAMY Z ANETĄ MARKOWSKĄ Z POWIATOWEGO CENTRUM POMOCY RODZINIE W OLSZTYNIE.

— Zdaniem Najwyższej Izby Kontroli zainteresowanie prowadzeniem rodziny zastępczej jest niskie. W raporcie napisano wręcz, że to problem systemowy. Czy w powiecie olsztyńskim odczuwalny jest ten kryzys rodzicielstwa zastępczego?

— Odczuwamy to, ale wydaje mi się, że na tle innych powiatów wypadamy całkiem nieźle. W tej chwili w powiecie olsztyńskim funkcjonuje 179 rodzin zastępczych, gdzie wychowuje się 305 dzieci. Żeby w całości zabezpieczyć nasz rejon, potrzebnych byłoby nam jeszcze 10 rodzin zawodowych. Gdyby w każdej z nich umieścić troje dzieci,

to mielibyśmy 30 dodatkowych miejsc. Dążymy do tego, by móc dobierać rodzinę odpowiednio do dziecka i mieć pewien wybór, gdzie to dziecko umieścić. A w tej chwili wygląda to w ten sposób, że dziecko umieszczanie jest po prostu tam, gdzie jest miejsce. Bardzo staramy się trzymać zasady, by dziecko było młodsze od biologicznych dzieci danej pary, ale i to czasem się nie udaje.

— Intensywnie pozyskują państwo jednak nowych kandydatów na rodziców zastępczych...

— Nasz powiat od dłuższego czasu prowadzi kampanię promującą rodzicielstwo zastępcze pt. „Rodzina zastępcza — profesja z misją”. Chcemy, by ta kampania była zauważalna. Chcielibyśmy też uczestniczyć w imprezach plenerowych w regionie, aby spotykać się ze społecznością lokalną, ale na razie z racji pandemii nie mamy takiej możliwości. Kampania oprócz pozyskania potencjalnych kandydatów na rodziców ma też inny cel: pokazanie jak ważną rolę jest rodzicielstwo zastępcze i jaką ogromną pracę wykonują ci, którzy się na nie zdecydowali.

— Gdzie powinni udać się potencjalni kandydaci na rodziców zastępczych?

— W pierwszej kolejności powinni skierować się na



Aneta Markowska pracuje w PCPR w Olsztynie na stanowisku starszego specjalisty pracy z rodziną

wstępne spotkanie do odpowiedniego organizatora rodzinnej pieczy zastępczej, w naszym przypadku jest to Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie w Olsztynie. Podczas wstępnej rozmowy próbujemy określić motywację kandydatów, gdyż często przychodzą do nas osoby z motywacją adopcyjną. Te dwie role często są mylone, a to zupełnie inne formy opieki nad dzieckiem. Rodzicielstwo zastępcze to forma czasowa, która zmierza ku temu, by w tym czasie, kiedy dziecko jest „zabezpieczone” w rodzinie zastępczej, jego rodzice mogli poukładać sobie swoje sprawy. Właściwy sąd może wtedy też uregulować prawną sytuację dziecka, które m.in. może być skierowane do wszczęcia wobec niego procedur adopcyjnych.

— Czy są określone wymogi dla potencjalnego kandydata na rodzica zastępczego?

— Kandydat musi dawać rękojmię, że będzie należycie sprawował pieczę zastępczą. Jeśli chodzi o wiek, to przyjmuje się że różnica wieku między rodzicem a dzieckiem

powinna być zbliżona do tej w rodzinie naturalnej, jednakże każdy przypadek rozpatrywany jest indywidualnie. Nie ma też absolutnie żadnego wymogu, by rodzicami zastępczymi zostawały wyłącznie osoby z wyższym wykształceniem. Kandydat nie może być pozbawiony władzy rodzicielskiej ani ograniczony w zdolności do czynności prawnych. Nie może być karany ani być sprawcą przemocy. To wszystko weryfikowane jest podczas wstępnej kwalifikacji tuż po tym, jak kandydaci złożą do nas podanie. Muszą także doręczyć zaświadczenie o stanie zdrowia i przejść badanie psychologiczne, po czym zostaje wydana opinia psychologiczna o posiadaniu bądź nie właściwych predyspozycji i motywacji do pełnienia tej roli. Przeprowadzana jest oczywiście też analiza warunków bytowych i mieszkaniowych w miejscu zamieszkania kandydatów.

— Co dzieje się dalej?

— To wszystko o czym wspominałam składa się na ostateczną opinię o kandydacie, w której jest on kierowany lub nie na szkolenie PRIDE dla kandydatów na rodziców zastępczych. Takie szkolenie trwa około trzech miesięcy i daje możliwość poznania podstawowych wyzwań związanych z przyjęciem dziecka do rodziny oraz własnych możliwości w tym zakresie. Przygotowujemy kandydatów do tego, by na koniec szkolenia świadomie mogli podjąć ostateczną decyzję. Z kolei organizator decyduje, czy dany kandydat uzyska kwalifikację do bycia rodzicem zastępczym, bo samo ukończenie szkolenia nie jest z tym tożsame.

— Jeśli kandydaci wycofują się w trakcie, to z jakiego

powodu najczęściej to robią?

— Oprócz wspomnianej motywacji adopcyjnej, trudno jest im często spełnić wymóg konieczności współpracy z biologicznymi rodzicami dziecka. Powodem może być także brak zgody na powyższe jednego z członków rodziny, na przykład ich własnego dziecka. Jednak statystycznie bardzo mały odsetek chętnych rezygnuje w trakcie procesu kwalifikacji. Zazwyczaj kandydaci są zdeterminowani i zdecydowani na podjęcie wyzwania.

— Czy często zdarzają się sytuacje, kiedy rodzice zastępczy chcą zaadoptować podopiecznego? Czy jest to sytuacja przez państwa pożądana?

— Dla nas nadrzędnym celem jest dobro dziecka. Generalnie założeniem pieczy zastępczej jest to, by dziecko wróciło do swojej rodziny biologicznej, ale zdarza się też tak, że kierowane jest do adopcji lub pozostaje w pieczy zastępczej do usamodzielnienia. W powiecie olsztyńskim zdarzały się sporadycznie sytuacje adopcji dziecka przez opiekunów zastępczych. Sprawę przejmują wówczas odpowiedni ośrodki adopcyjne.

— Jaki odsetek dzieci po pobycie w rodzinach zastępczych wraca do swoich rodzin biologicznych?

— Niewielki. W 2019 roku w powiecie olsztyńskim było to dziewięć dzieci. Ogromna zasługa w tym też rodziców zastępczych, którzy szanują tych biologicznych i dbają o zachowanie ciągłości ich relacji z dziećmi. A proszę pamiętać, że to nie są łatwe relacje, bo przecież dzieci nie są bez powodów odbierane z domów rodzinnych.

Dominika Raszkiewicz

Rodzinie zastępczej oraz prowadzącemu rodzinny dom dziecka przysługują następujące świadczenia:

694 zł miesięcznie – w rodzinie zastępczej spokrewnionej,
1052 zł miesięcznie – w rodzinie zastępczej niezawodowej, zawodowej lub rodzinnym domu dziecka

DODATKI:

- wychowawczy: **500 zł**
- na dziecko z niepełnosprawnością: **211 zł**

Liczba rodzin zastępczych w województwie warmińsko-mazurskim w latach 2015-2020



TEN SYSTEM NIE JEST DLA DZIECI

— Sytuacją dzieci, które nie mają szansy wychowywać się w biologicznych rodzinach, zajmuje się pani nie tylko w badaniach prowadzonych w Interdyscyplinarnym Zespole Badań nad Dzieciństwem UW, ale i na swoim profilu facebookowym. To z niego wiem, że uważa pani, że w polskim systemie pieczy zastępczej dziecko jest traktowane jak „dobro ruchome”.

— W polskim systemie nie rozpoznaje się takiej wartości jak stabilizacja, nie dostrzega, że na kondycję psychiczną osoby, która w wieku 18 lat opuści system pieczy zastępczej, ma ogromny wpływ na to, ile razy zostanie w tym systemie przetrzucona. Z każdą zmianą miejsca i opiekuna dziecko doświadcza kolejnej destabilizacji. Są ciekawe badania, z których wynika, że małe dzieci, które zostały w tym systemie umieszczone po raz pierwszy, czyli te, które odebrano z domu rodzinnego, nie wykazywały wówczas zaburzeń zachowania. Choć, oczywiście, odczuwały tęsknotę i inne trudne emocje... Po „prze-flancowaniu”, czyli takim przeniesieniu z jednego miejsca do drugiego, pojawiały się u nich zaburzenia w zachowaniu w wartości od 36 do 63 proc. w zależności od tego, ile takich ruchów po systemie było.

— A może być ich sporo...

— Oczywiście. Może np. kilka razy wracać do rodziny biologicznej, a potem znów do pieczy zastępczej czy placówki. I kiedy takie dziecko po licznych wędrówkach, trafi np. ośrodka wychowawczego, pojawia się pytanie, co by się stało z tym dzieckiem, gdyby mu tych doświadczeń oszczędzono. W odpowiedzi na nie pojawiają się argumenty, które trochę łagodzą systemowe wyrzuty sumienia, a przypominające o genach, o wczesnych zaburzeniach wyniesionych z domu rodzinnego, o FAS... Rzecz w tym, że to sam system na negatywny wpływ na sytuację tego dziecka i niepowodzenia w jego dorosłym życiu.

— A osoby odpowiedzialnej za taki stan rzeczy nie da się nawet wskazać...

— W praktyce sprowadza się to do tego, że szansę są dawane dorosłym, a nie dzieciom. Perspektywa dziecka jest pomijana. Nikt nie za-

stanawia się nad tym, jak ono się czuje, co dla niego znaczy utrata jedynego do tej pory domu, lub — w przypadku maluchów — znajomego zapachu, dotyku czy znajomych dźwięków.

— To bardzo ważne szczególnie w przypadku najmłodszych dzieci, tak wrażliwych na bodźce. I dlatego, jak rozumiem, nie podzielała pani entuzjazmu niektórych, kiedy w Polsce informowano o powstaniu nowego interwencyjnego ośrodka preadopcynowego?

— Na takie miejsca patrzymy z perspektywy dorosłych. I co widzimy? Miejsca z bardzo dobrym personelem, ze świetną infrastrukturą, z wolontariuszami do kangurowania itd. Z naszego punktu widzenia to naprawdę przyjemne miejsce. Ale z perspektywy dziecka to karuzela bodźców, bo przecież opiekunowie zmieniają się co dyżur, podobnie jak wolontariusze. System nerwowy dziecka wariuje. Wiemy o tym z licznych badań, że to złe rozwiązanie o alarmujących skutkach dla dziecięcych systemów nerwowych. Skutki są niesione przez kolejne lata, bo

**NAWET DZIECI
ADOPTOWANE
— A KTÓRE SPĘDZIŁY
WCZESNE DZIECIŃSTWO
W OŚRODKU — NADAL
PO SZĘŚCIU LATACH
MAJĄ PODNIESIONE
POZIOMY KORTYZOLU
WE KRWI ORAZ NIŻSZE
ILORAZY INTELIGENCJI
W PORÓWNIANIU
Z ADOPTOWANYMI
RÓWIEŚNIKAMI,
KTÓRZY NIE MAJĄ
DOŚWIADCZENIA
PLACÓWKOWEGO.**

ONZ już kilka lat temu wzywała do zamykania interwencyjnych ośrodków preadopcynowych, a w Polsce tymczasem otwiera się kolejną taką placówkę. Nie umiem tego zrozumieć, choć nie mam wątpliwości co do tego, że ludzie, którzy takie miejsca tworzą i którzy w nich pracują, mają dobre intencje.

— Powiedziała pani, że



**SYSTEM POWINIEN BYĆ BUDOWANY
WOKÓŁ DZIECKA, A NIE WOKÓŁ
JEGO RODZICÓW — PODKREŚLA
ANNA KRAWCZAK, KTÓRA NA WŁASNEJ
SKÓRZE PRZEKONAŁA SIĘ,
JAK DZIAŁA SYSTEM PIECZY
ZASTĘPCZEJ W POLSCE.
JEST NIE TYLKO OSOBĄ, KTÓRA
PRZESZŁA DROGĘ OD MAMY
ZASTĘPCZEJ DO ADOPCYJNEJ,
ALE I BADACZKĄ PRZYGLĄDAJĄCĄ SIĘ
TEJ PROBLEMATYCE
Z NAUKOWYM ZACIECIEM.**

systemowo dajemy zawsze szansę dorosłym. Dowodem na to niech będzie fakt, że całkiem niedawno walczone o to, by rodzice biologiczni obligatoryjnie dostawali wsparcie pełnomocnika procesowego. Dzieci nikogo takiego nie miały...

— I nie mają nadal. Inaczej bywa w sprawach karnych, kiedy rodzice są oskarżeni np. o stosowanie przemocy — wówczas pojawia się kurator procesowy. Choć warto zaznaczyć, że nadal jest ogromna dysproporcja między liczbą przypadków krzywdzenia, a sprawami karnymi. To szczególnie widać na przykładzie molestowania seksualnego.

— Dlaczego?

— Ponieważ trzeba uwiarygodnić, że do takiego krzywdzenia doszło. Opowieść małego dziecka nie jest traktowana jako wystarczająco mocna dowodowo. Podobnie dzieje się w przypadku dzieci z niepełnosprawnościami intelektualnymi... Pamiętam przypadek chłopca, który wprost mówił o tym, jak był gwałcony przez konkubenta matki. Został zbity z tropu przez przesłuchującą go biegłą. Chłopiec wskazywał przedmiot, za pomocą którego został zgwałcony, a ona poddawała to w wątpliwość, pytała: a może to nie był ten przedmiot, tylko inny? Dziecko w końcu niczego nie było pewne. A sprawa była o tyle dość jasna, że chłopiec miał chorobę weneryczną.

— To zatrważające. A co z pełnomocnikami rodziców? Będą?

— Ta poprawka wypadła z nowelizacji, która jest aktualnie procedowana, ale w tym projekcie nadal nie ma też poprawki o reprezentancie dziecka, choć postuluje się to od lat. Wspólny projekt w tej sprawie przygotowali Marek Michalak i Adam Bodnar, a więc były Rzecznik Praw Dziecka i Rzecznik Praw Obywatelskich. Niestety, w polskim prawie w sprawach rodzinnych to rodzic reprezentuje swoje dziecko przed sądem, nawet wtedy, kiedy jest to sprawa o pozbawienie praw rodzicielskich...

— Aż trudno uwierzyć, że taki stan może się wciąż utrzymywać...

— Co ciekawe, z badań, które prowadzi mój zespół, wynika m.in., że sędziowie,

którzy orzekają w sprawach dotyczących rodzin, są przekonani, że zawsze dbają o interes dziecka. Jeden z sędziów opowiadał nam tymczasem o sprawie dziecka, które trafiło do pieczy zastępczej jako noworodek. Jego mama deklarowała jednak, że chce je odzyskać. Sprawa trwała siedem lat i nie zakończyła się pozbawieniem praw rodzicielskich, a dziecko, rzucając po systemie, jest teraz bardzo zaburzone, bo nigdy nie dostało miejsca, w którym miałyby poczucie przynależności. Ten wspomniany sędzia powiedział, że się czasem zastanawia, czy nie „zepsuł” tego dziecka. Dla mnie to jest oczywiste: zepsuł.

— Co można zrobić, żeby sędziom łatwiej przychodziło przyjmowanie perspektywy dziecka?

— Konieczne są szkolenia, które uświadomią im, że czas dziecka jest czymś innym niż czas dorosłego. Dziecko, paradoksalnie, ma go zdecydowanie mniej. Ale w polskim systemie sądownictwa nie ogląda się świata oczami dzieci.

— To jeden z grzechów polskiego systemu. A inne?

— Brak limitu czasowego na rozstrzygnięcie sprawy dziecka. Kiedyś wnioskował o to Marek Michalak. Chciał on, żeby decyzje zapadały w czasie sześciu miesięcy. Nic z tego nie wyszło.

— Innym wychodzi?

— W Wielkiej Brytanii na wyjaśnienie sytuacji dziecka trafiającego do pieczy zastępczej są 24 tygodnie. Można ten okres wydłużyć o pięć kolejnych tygodni, ale średnia rozstrzygnięcia takich spraw wynosi tam 19 tygodni. To działa, ponieważ pod uwagę brane są różne scenariusze i do nich, jednocześnie, opracowuje się rozwiązania. Po pierwsze, bada się możliwość reintegracji, czyli powrotu dziecka do rodziny. Rodzice otrzymują pomoc i świadczenia, które mają im pomóc wywiązywać się z obowiązków. Po drugie, szuka się krewnych dziecka, którzy byliby gotowi przyjąć dziecko. W trzecim scenariuszu rozważamy możliwość adopcji. W czwartym sprawdzamy, czy dla tego dziecka najlepsza nie byłaby rodzinna piecza zastępcza. Bywa bowiem, że rodzice nie mogą pełnić swoich obowiązków,



Fot. Archiwum prywatne

Anna Krawczak jest badaczką i członkinią Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem UW. Przez lata była też przewodniczącą Stowarzyszenia na Rzecz Leczenia Niepłodności i Wspierania Adopcji „Nasz Bocian”

ale są bezpieczni dla dziecka, a w rodzinie istnieją więzi. Takim modelowym przykładem dla tej sytuacji są rodzice z niepełnosprawnością intelektualną, którzy nie krzywdzą swojego dziecka, ale nie są w stanie się nim zajmować. W takiej sytuacji dziecko zostaje do pełnoletności w rodzinie zastępczej, ale ciągle ma kontakt z mamą i tatą. Ważne w tym systemie jest to, że kiedy przedłuża się czas dany rodzicowi na zrealizowanie planu powrotu dziecka do domu (bo np. musi przejść terapię, udowodnić, że żyje w trzeźwości itp.), wszyscy wiedzą, w jakim kierunku zmierza sytuacja dziecka. W Polsce organizator pieczy zastępczej może dopiero po 18 miesiącach upomnieć sąd i zapytać, ile to jeszcze potrwa.

— A trwa za długo...

— Średni pobyt dziecka w rodzinie zastępczej w Polsce wynosi trzy lata i siedem miesięcy. Ustawa o wspieraniu pieczy zastępczej nie jest głupim dokumentem, ale się go nie przestrzega. Błędem było wyeliminowanie z systemu rodzin zastępczych długoterminowych. Kiedy więc np. po czterech latach sytuacja prawna dziecka zostaje uregulowana, rodzice zastępczy słyszą, że dziecko, z którym stworzyli więź, zostanie zgłoszone do ośrodka adopcyjnego. Ci, którzy nie wyobrażają sobie rozstania z dzieckiem, którzy boją się o jego rozwój, stają wówczas przed decyzją o tym, czy

chcą je adoptować. To rodzaj szantażu emocjonalnego. I powód, dla którego w końcu sporo rodzin zastępczych wypada z systemu.

— Wiemy z mediów, że to także pani historia. Dlaczego tak się dzieje?

— Bywa, że rodziny nie chcą przechodzić rozstania z dzieckiem, z którym stworzyli więź, a nie wszystkie też mogą sobie pozwolić na adopcję, której nie towarzyszy żadne wsparcie — ani finansowe, ani psychologiczne. Świadczenia, które rodzina dostawała jako zastępcza, w momencie adopcji znikają. To trudna sytuacja, bo dziecko wymagające terapii czy specjalistycznego leczenia, potrzebuje tego nadal, a w domu mogą być inne dzieci. Adopcja może więc doprowadzić do pauperyzacji rodziny, jej brak — do życia z poczuciem, że nie postąpiło się słusznie. Niewiele osób jest w stanie regularnie przechodzić przez takie sytuacje. A wszystko przez to, że nie potrafimy jasno powiedzieć, że rodziny zastępcze długoterminowe są w nim potrzebne. To one gwarantują oszczędności w przyszłości, bo wychodzące z takich rodzin dzieci będą zdrowymi dorosłymi.

— Rozumiem, że na tym lista błędów systemu się nie kończy?

— Niestety. Bardzo zaburzająca może być dla starszego dziecka świadomość, że raz na kwartał musi

wypełniać kwestionariusz, w którym jest np. pytanie, czy chce być oddane do adopcji. To dla niego taki dowód na to, że jest w ciągłej potencjalnej rotacji. Swoją drogą, obserwacja sytuacji w Polsce i innych europejskich krajach pokazuje, że małych dzieci do adopcji będzie coraz mniej. To także efekt programu 500 plus. Nie krytykuję tego świadczenia, tylko wskazuję, że to jedna z przyczyn, dla których dzieci dłużej zostają w swoich rodzinnych domach — małym dzieckiem łatwiej się zająć niż kilkulatkiem, nawet rodzinie niewydolnej. Ale ono później i tak wpadnie „w system”, bo żadne świadczenie socjalne nie uleczy niewydolności emocjonalnej i wychowawczej. Dzisiaj rodzina, która chce adoptować noworodka, czeka na takie dziecko około trzech lat. Za kilka lat będzie się czekało jeszcze dłużej. We Francji ten okres już teraz wynosi około osiem lat. Ci, którzy nie chcą tyle czekać, modyfikują swoje założenia, decydują się np. na adopcję rodzeństwa. Kiedy 11 lat temu zaczynałam pracę w „Naszym Bocianie”, adopcje rodzeństw były czymś rzadkim, a za dziecko „starsze” uchodziły już trzylatki. Dzisiaj są to 7-8-letnie dzieci.

— Co trzeba zmienić?

— System powinien być budowany wokół dziecka, a nie wokół jego rodziców.

Jeśli faktycznie w rodzinie, która została rozdzielona, były silne więzi, interes dziecka będzie też interesem jego rodziców, oni nie zostaną zapomniani. Jeśli jednak powrót do domu nie będzie dla dziecka dobry, to trzeba podążyć za jego potrzebami.

RODZICE MAJĄ DZIECIŃSTWO ZA SOBĄ, A DZIECKO DOZNAJĄCE KRZYWDY MOŻE SWOJEGO NIE PRZEŻYĆ.

Warto też poszerzyć katalog rodzin zastępczych, powołać rodziny terapeutyczne i długoterminowe. Także w zakresie adopcji mamy sporo do zrobienia — uważam, że w Polsce powinna być opcja adopcji dofinansowanej — przeznaczonej przede wszystkim dla rodzin, które adoptują rodzeństwa oraz dzieci z niepełnosprawnością. Tym bardziej że mamy ludzi, którzy świetnie sprawdzaliby się w takiej roli i gotowi byłiby ją pełnić, ale są niestety nauczycielami, a nie prezesami firm, więc nie mają zaplecza finansowego do wychowania dzieci z problemami.

— Wciąż spotykam się z przekonaniem, że system krzywdzi dzieci, bo zabiera je rodzicom z powodu biedy.

— To nieprawda. W domach, z których odbierane są dzieci, czasem panuje nie-

dostatek, ale jest to czynnik towarzyszący innym problemom. Jeśli rodzic jest uzależniony, to nie ma pieniędzy, bo wydaje je na wódkę. Jeśli ktoś jest agresywny, to brakuje mu pieniędzy, bo nie umie utrzymać pracy. I tak dalej. Bywa też, oczywiście, że dzieci są krzywdzone w domach, w których pod względem materialnym niczego nie brakuje. Przemoc jest nadreprezentowana w rodzinach wykluczonych społecznie, ale nie dlatego, że zdarza się tam o wiele częściej, ale dlatego, że łatwiej jest ją wykazać.

— Na swoim profilu facebookowym opisała pani poruszającą historię sześciorga rodzeństwa, które czekało na rodzinę zastępczą gotową przyjąć ich wszystkich. Sama chyba była pani zdumiona tym, że ktoś taki się znalazł, tym bardziej że matka tych dzieci apelowała o to, by trafiły do domu dziecka „choćby pod ruską granicę”. Co ciekawe, dom postanowiła stworzyć im kobieta, która już ma dzieci w pieczy, ale nie ma statusu zawodowej rodziny zastępczej. Denerwował panią fakt, że państwo nie chce jej wspierać. Jak wygląda dzisiaj jej sytuacja?

— Nadal nie podpisano z nią umowy. Ostatnim wytłumaczeniem przedstawionym przez urzędników był chyba brak aktualnego zaświadczenia od pedagoga. To śmieszne, bo ta matka

zastępcza ma wysokie kompetencje i jest bardzo ceniona za swoją pracę. To ona szkoli innych rodziców zastępczych.

— Inny paradoks: domy dziecka miały zniknąć, a pojawiają się nowe. Dlaczego? — Powodów jest pewnie wiele. Przede wszystkim rządzący uważają, że łatwiej sprawować nad nimi kontrolę (co niekoniecznie jest prawdą). Po drugie, w razie jakiegoś problemu, łatwiej wskazać winnego, czyli dyrektora. Po trzecie, nawet najbardziej zmęczony wychowawca kiedyś kończy dyżur i idzie odpocząć. Rodzic zastępczy nie ma takiej możliwości, więc szybciej się wypala. Domy dziecka, choć o wiele bardziej kosztowne, są dla systemu dość wygodne. Dzisiaj takie placówki są mniejsze, bo aktualnie ma w nich mieszkać nie więcej niż 14 dzieci, ale nadal to nie są dobre miejsca dla dzieci. Choć powiem przewrotnie:

MY, JAKO
SPOŁECZEŃSTWO,
LUBIMY DOMY DZIECKA.
PODOBA NAM SIĘ, ŻE
MOŻEMY TAM ZAWIEŹĆ
DARY, MOŻEMY IM
POWSPÓLCZUĆ, MOŻEMY
WŁASNEMU DZIECKU
POWIEDZIEĆ, ŻEBY NIE
NARZEKAŁO, BO MA
LEPIJ NIŻ JEGO BIEDNI
RÓWIEŚNICY W DOMU
DZIECKA.

Takie placówki są też wentylem bezpieczeństwa dla niektórych rodzin zastępczych, kiedy pojawia się zniechęcenie — wówczas świadomość, że ewentualnie będzie można dziecko oddać, jest dla nich wyzwalająca. Tym bardziej że kryzysy są często przeczekiwane, a bywa i tak, że organizator pieczy zastępczej zamiast udzielić wsparcia, proponuje rozwiązanie rodziny. Uważam, że domów dziecka nie trzeba likwidować, ale należy je przekształcać — zatrudnieni tam doświadczeni pracownicy mogą organizować wsparcie, pomoc wychowawczą, turnusy terapeutyczne. I nie muszą tej oferty kierować tylko do rodzin zastępczych, ale też do biologicznych i adopcyjnych. Na tym właśnie polega deinstytucjonalizacja.

PIECZA ZASTĘPCZA NA WARMII I MAZURACH

	2017	2018	2019
LICZBA DZIECI PRZEBYWAJĄCYCH W RODZINNEJ PIECZY ZASTĘPCZEJ	2852	2847	2759
LICZBA DZIECI PRZEBYWAJĄCYCH W INSTYTUCJONALNEJ PIECZY ZASTĘPCZEJ	934	889	906
LICZBA RODZIN ZASTĘPCZYCH	1855	1843	1761
LICZBA KOORDYNATORÓW PIECZY ZASTĘPCZEJ	97	97	98
LICZBA ASYSTENTÓW RODZINY WSPÓŁPRACUJĄCYCH Z RODZINĄ NATURALNĄ, W SYTUACJI UMIESZCZENIA DZIECKA W PIECZY ZASTĘPCZEJ	-	171	145
LICZBA DZIECI POWRACAJĄCYCH Z PIECZY ZASTĘPCZEJ DO 18 ROKU ŻYCIA DO RODZIN NATURALNYCH	141	99	82

Oprac. GG. Źródło danych: GUS

— Jak wyglądała twoja droga do macierzyństwa?

— Pochodzę z wielodzietnej rodziny. Wiedziałam, że w końcu zaprawdę stworzyć własną. Gdy spotkałam właściwą osobę, by zacząć myśleć o powiększeniu rodziny, pojawiły się pierwsze trudności. Zaczęliśmy od kilku lat prób w stylu „niech natura zadecyduje”. Później były kolejne spędzone pod okiem lekarzy specjalistów, najpierw lokalnie dostępnych, potem poznanych w czasie podróży po Polsce. Aż w końcu lekarz prowadzący podjął decyzję o finale tej drogi starań. Widząc powtarzający się i tragiczny dla naszej psychiki schemat, zasugerował życie we dwójkę albo adopcję.

— Wasza reakcja?

— Zrobiliśmy sobie roczną przerwę od myślenia na temat dzieci i spędziliśmy go na odwykłych podróżach, chodzeniu na wycieczki koncertowe, pielęgnowaniu przyjaźni. Potrzebowaliśmy czystych głów i „resetu emocjonalnego” przed rozmową o tym, co dalej. Rozmowa przyszła w Nowy Rok, a w pierwszym tygodniu stycznia odwiedziliśmy Warmińsko-Mazurski Ośrodek Adopcyjny, żeby zobaczyć, jakie trzeba spełnić formalności.

— I co to było?

— Oprócz tzw. papierologii, testów psychologicznych, trzeba odbyć szkolenie na rodziców adopcyjnych. Odpowiednie dokumenty zebraliśmy w dwa miesiące, a w kolejnym udało nam się dostać na wiosenną turę szkolenia. Trwało ono do końca czerwca. Były to intensywne i, co z perspektywy czasu mogę stwierdzić, niezwykle potrzebne zajęcia, warsztaty, rozmowy. Na koniec otrzymaliśmy odpowiednie świadectwo. Jeszcze tylko rozmowa z przedstawicielami ośrodka, zapewnienie ich o wytrwałości w postanowieniu i słynne czekanie na telefon. Ten najważniejszy telefon w naszej rodzinie odebrałam dokładnie rok po szkoleniu. Dobrze, że do wizyty w ośrodku adopcyjnym były jeszcze dwa dni, bo odzyskałam utracony z wrażenia głos. Tam dowiedzieliśmy się kilku faktów z przeszłości naszego synka, poznaliśmy opis jego badań i obserwacji, ale przede wszystkim umówiliśmy się na pierwszą wizytę. Bo nic, co usłyszeliśmy, nie zniechęciło nas, by to uczynić. Tu odkryliśmy prawdziwą wartość szkolenia, które ukazało nam realne, a nie życzeniowe, rozumienie ca-

RODZICE OD PIERWSZEGO TELEFONU

KAROLINA I JEJ MĄŻ JAKIŚ CZAS TEMU SPEŁNILI DWA MARZENIA: SWOJE I NIEŚWIADOMEGO JESZCZE, ŻE TO MARZENIE, CHŁOPCA POZBAWIONEGO RODZICÓW. ICH SYN ZA JAKIŚ CZAS DOWIE SIĘ, ŻE KAROLINA I KRZYSIEK SĄ JEGO RODZICAMI NIE Z KRWI, ALE Z POTRZEBY SERCA.

łej sytuacji. Największym przeżyciem były odwiedzin w pogotowiu rodzinnym, gdzie przez następne dwa tygodnie spotykaliśmy się z naszym synkiem, ale też widzieliśmy pozostałe dzieci. To był trudny emocjonalnie czas: z jednej strony szczęście naszej trójki, z drugiej świadomość ogromu nieszczęścia innych dzieci.

Po pierwszej rozprawie mogliśmy zabrać synka do domu i tam, już razem, oczekiwaliśmy na drugą, decydującą.

— Z tego, co mówisz, wiem, że już wówczas czuliście się rodziną. A kiedy staliście się nią dla reszty świata?

— Po dwóch miesiącach, w trakcie których byliśmy w kontakcie z poprzednią opiekunką synka, i w czasie których odwiedzały nas panie z ośrodka oraz pani kurator. — Czy w czasie przygotowań do adopcji było coś, co waszym zdaniem niepotrzebnie utrudniało ten proces?

— Wszystkie elementy na pewno miały jakąś rolę: pa-

pierologia spełniała warunki formalne dla ośrodka adopcyjnego czy sądu, testy psychologiczne miały wykazać stopień naszej dojrzałości emocjonalnej i wpływały na dobór charakterologiczny przyszłego dziecka, szkolenie urealniało nam wspólne życie, z blaskami i negatywami. Wszystko się zgadza. Może darowałabym opinię szefa z pracy, to dość kłopotliwe i narzucające sztywne podejście do umieszczanych tam treści. Bo nikt przecież

nie chce utrudniać dążeń powiększenia rodziny. Czasem denerwowała nas wiwisekcja, jakiej doświadczyliśmy, ale od razu wiedzieliśmy, że ma to swój cel.

— Poznaliście pewnie innych ludzi przygotowujących się do adopcji. Czy wszystkim udało się spełnić to marzenie?

— Uczestnikami naszej grupy były osoby o dość zbliżonym wieku, szybko złapałyśmy kontakt, który utrzymujemy do dziś. Korzystamy

z utworzonej w trakcie szkolenia grupy na popularnym komunikatorze i informujemy się o ważnych dla naszych rodzin wydarzeniach. Oczywiście na początku kanał ten utworzyliśmy po to, by wiedzieć, kto doczekał się telefonu z ośrodka adopcyjnego i na jakim jest etapie w procedurze przysposobienia. Doświadczeni rodzice służyli radą oczekującym. W ciągu półtora roku wszystkie osiem par miało już jedno lub dwoje dzieci.

— Jaki jest twój syn?

— Jest pogodny, ma iskry w oczach. Wiem, że wiele zawdzięcza temu, że miał szczęście do opiekunki, u której był zanim trafił do swojego domu. Czyli do nas.

— Czy masz jakieś obawy, których nie rozwiąły spotkania ze specjalistami?

— Nie takie, do poradenia z którymi potrzebni są specjaliści. Ważna jest chyba dojrzałość podjętej decyzji, świadomość przyszłych potrzeb dziecka, ale w taki sposób, by obawy nie blokowały nas w docenianiu szczęścia na bieżąco. Do ośrodka zawsze można przyjść i zadzwonić, wygadać się i zasięgnąć porady. Jednak z chwilą adopcji, co doceniam z perspektywy czasu, stroną inicjującą kontakt są rodzice.

— Czy jesteście jako rodzice jakoś sprawdzani?

— W momencie adopcji, po decydującej rozprawie stwierdzającej przysposobienie, kontrola ośrodka adopcyjnego się kończy. Ale mówię to z doświadczenia rodzica, które miało szczęście adoptować w pełni.

Daria Bruszevska-Przytuła



Imiona bohaterów zostały zmienione

Powody umieszczania dzieci w pieczy zastępczej na Warmii i Mazurach



W 2020 r. na Warmii i Mazurach:



rodziny przysposobiły
66 dzieci

do ośrodka adopcyjnego zgłosiło się
55 małżeństw

do przysposobienia zakwalifikowano
75 dzieci

do adopcji zgłoszono **2** dzieci
pozostawionych w szpitalu

wycofano **3** wnioski o przysposobienie
5 dzieci na etapie preadopcyjnym

rozwiązano **1** adopcję wobec **2** dzieci

na szkolenie dla rodziców adopcyjnych
nie zostały zakwalifikowane **4** małżeństwa